

TATERNIK

2
1998





Spis treści

Tomasz Oleksy	
mistrzem Europy	1
Carpe diem	2
Wyżej niż marzenia	5
Sierra el Brujo	9
Ciasne Kominy	12
Gdzie jesteś, Śnieżna Studnia?. . .	16
Drogi z archiwum pamięci	21
Pod górę, czy może już w dół? . .	26
Granicy rozsądku przekraczać	
nie wolno	28
Nie ma panaceum na stopy	32
Jaskinie i speleologia	34
Wieści z gór wysokich	35
Wiosna w Sokolikach	36
Sejmik prezesów	37
Pożegnania	38
Szkolenie	38

Zdjęcie na okładce: Barbara Batko i Eryk Margueritte na szczycie Gasherbrum II.

Fot. R. Pawłowski

Zdjęcie obok: Odpoczynek przy spicie, Sokoliki '98

Fot. A. Kłos

ISSN 01373155

Tomasz Oleksy mistrzem Europy

W pierwszym tygodniu kwietnia br. w Norymberdze odbyły się Mistrzostwa Europy we Wspinaczkę Sportowej. W zawodach wzięło udział prawie 150 zawodniczek i zawodników z 22 krajów europejskich.

Polskę reprezentowały dwie zawodniczki oraz trzech zawodników – Iwona Marcisz, Renata Piszczek, Tomasz Oleksy, Adam Liana, Łukasz Muller.

Największym sukcesem polskiej reprezentacji było zdobycie przez Tomka tytułu Mistrza Europy we Wspinaczkę Sportowej w konkurencji na czas. Tomek od samej rundy eliminacyjnej nie dał cienia szans swoim rywalom dystansując ich na tyle, że kolejne rundy wydawały się być tylko czystą formalnością przed wręczeniem pucharu. Tomek startował również w konkurencji na trudność zajmując 22 pozycję.

Bardzo dobre miejsce zajęli również pozostali zawodnicy startujący w konkurencji na czas – Renata zajęła 5. miejsce, natomiast Łukasz 9.

W konkurencji na trudność Renata zajęła 19 lokatę, Iwona 20, Łukasz 42, natomiast Adam 59.

R



Fot. W. Świąćicki

CARPE DIEM – WYKORZYSTAĆ SZANSE...

Przystanek Alaska

Po jednym z kolejnych powrotów z gór Napał rzucił na powitanie:

– **Wiesz co myślałem? Pojedziesz z nami na Gasherbrumy.** Powiedział to jakby od niechcenia, obojętnie, ale z takim błyskiem w oku, jakby właśnie zrobił mi świetny kawał.

– **Proszę?** – odpowiedziałam tonem, którym równie dobrze mogłabym skwitować propozycję wyjazdu na Księżyc, i dodałam już normalnie:

– **Przecież mieliśmy w planach Alaskę!**

– **Alaska to będzie tylko taki – no wiesz – przystanek...**

Po tych słowach uznał sprawę za zakończoną i po paru dniach wyjechał na następną wyprawę. Wpadłam w popłoch, Aconcagua – udało się, McKinley – warto próbować, ale Gasherbrum? To przecież 8000 m. Czy mam jakkolwiek szansę?...

Pojawilo się mnóstwo pytań i wątpliwości, a całe przedsięwzięcie w kontekście planowanego wyjazdu na Alaskę wydawało się wręcz niemożliwym do przeprowadzenia – ze względu na czas, organizację i finanse. Zaczęłam rozpaczliwie szukać w myślach jakiegoś rozwiązania. Ponieważ jednak aktywność intelektualna nie jest moją najmocniejszą stroną dość szybko dałam sobie spokój z myśleniem i rzuciłam się w wir działań. Wiedziałam, że po pierwsze – Gasherbrum II (8035 m) należy do tzw. niskich ośmiotysięczników i jeśli chcę spróbować, to lepszej okazji mieć nie będę. Po drugie – że nie wykorzystane szanse nie powtarzają się.

Ogrom zabiegów przedwyjazdowych, w tym starania o fundusze sprawiły, iż nie miałam czasu na normalny trening, np. w Beskidach. W ramach przygotowania kondycyjnego, zaczęłam zdobywać... najwyższe piętra okolicznych wieżowców. To wcale nie żarty! Najpierw „na lekko”, potem z plecakiem. Szesnaste piętro po raz pierwszy, drugi, trzeci... Mieszkańcy przyzwyczaili się, życzliwie zagadywali. Nie spotkałam się, jak kiedyś mój kolega



Barbara Batko pod Gasherbrum II

„przerabiający” ten wariant treningowy, z dobrotliwą radą – „*Synek, nie męcz się, przeca tu jest winda*”. W końcu nadszedł czas wyjazdu.

Wędrówka do stóp Tronu

Wyprawa składała się z 13 (!) osób, tworzących trzy równoległe działające grupy. Nasz zespół, którego liderem był Ryszard Pawłowski, składał się

– podobnie jak na Ama Dablam – z siedmiu osób. Celem wszystkich było wejście na McKinley, a raczej, zgodnie z lokalnym nazewnictwem, na Denali (6194 m) – Tron Słońca, „świętą górę Amerykanów”. No proszę, wszystko mają w tej Ameryce największe na świecie, a górę – nie! Chociaż jednak... Pomimo iż wysokość szczytu nie jest imponująca, to wiele przewodników podaje, iż w pewnym sensie jest to najwyższa góra świata, gdyż różnica wzniesień, liczona od poziomu leżącej u podnóża doliny Susitna, wynosi 5180 m – czyli najwięcej na świecie, nie wyłączając Himalajów.

McKinley, położony pomiędzy morzem a kołem podbiegunowym, od którego dzieli go zaledwie 500 km, uważany jest za jedną z bardziej nieprzyjaznych alpinistom gór. Huraganowe wiatry i odnotowywane tu okresowo wyjątkowo niskie temperatury – to powody częstych odmrożeń. Jurek Kukuczka, dla którego wyjazd na Alaskę był wysokogórskim debiutem, ledwo uniknął amputacji odmrożonych stóp. Ponadto rozległość podszczytowych pól śnieżnych bardzo utrudnia w okresach załamania pogody orientację.

Wśród naszej trzynastki był Krzysz Wielicki, dla którego pokonanie Denali miało być kolejnym krokiem w zdobywaniu drugiej, po himalajskiej, Korony – Korony Ziemi.

Po przybyciu do Anchorage i zaopatrzeniu się w absolutnie zdrową żywność (natknęliśmy się nawet na sól o obniżonej zawartości soli w soli), pojechaliśmy busem do Talkeetna, gdzie znajduje się siedziba Parku Narodowego Denali. Park, wpisany dziś na Światową Listę Rezerwatów Biosfery, utworzony został dzięki inicjatywie Charlesa Sheldona – wielkiego znawcy oraz miłośnika gór i dzikiej przyrody – w roku 1917, jako PN Mount McKinley. W swym pierwotnym kształcie nie obejmował samego masywu, bowiem celem jego była ochrona zasobów przyrodniczych tych okolic – tundry i tajgi wraz z ich dzikimi mieszkańcami.

Sam masyw McKinleya został włączony w teren Parku w 1980 r., powiększając jego powierzchnię trzykrotnie. Wtedy też nazwę Parku zmieniono na Denali.

W dyrekcji parkowej wysłuchaliśmy troskliwych rad „parkowców” i ratowników, odnośnie zasad działania w tym rejonie górskim, oglądaliśmy film – horror o różnych przypadkach odmrożeń, po czym zaopatrzeni na drogę w benzynę i... dobre słowo udaliśmy się na lokalny postój taksówek, czyli na lotnisko.

Malutkie, czteroosobowe samolociki, z miejscem na bagaż, zaopatrzone są dodatkowo w płyty umożliwiający start i lądowanie na lodowcu. Marek, lekarz wyprawy, charakteryzujący się bardzo słusz-

ną posturą, stanął obok jednej z taksówek, delikatnej niczym wałka, z nieukrywanym niepokojem zapytał: – *I ja mam tym lecieć?* Do dzisiaj nie wiem czy czując nieuchronność mających nastąpić wydarzeń nasz kochany doktor nie sięgnął przypadkiem do swojej apteczki i nie naruszył cokolwiek zapasów środków uznawanych powszechnie za środki odkażania i dezynfekcji ogólnej. 45-minutowy lot nad lasami, rozlewiskami i górami i w finezyjnej ekwilibryście między skałami pozostawił rzeczywiście niezatarte wrażenie.

Po wylądowaniu na lodowcu Kahiltna całość sprzętu i żywności na 3 tygodnie załadowaliśmy na plastikowe sanki, przypinając je do upręży wspinaczkowych, i ruszyliśmy w górę lodowca (instytucja jaków i portersów na Alasce nie funkcjonuje). Pierwsze dwa odcinki w niższych partiach pokonuje się nocą – zarówno ze względu na bezpieczeństwo, jak i na wygodę: przy niższych temperaturach śnieg jest twardszy, a mosty śnieżne nad szczelinami mocniejsze. Praktykowane są dwa sposoby poruszania się – w raketach śnieżnych, które można wypożyczyć od „parkowców”, oraz na „nartach fokowych”. Te ostatnie znacznie przyspieszają drogę powrotną, a długi zjazd w dół, aż na samo lądowisko powietrznych taksówek, stanowi niebywałą frajdę.

Oba sposoby znacznie ułatwiają od strony technicznej poruszanie się po śniegu, a przez rozłożenie ciężaru na większą powierzchnię dodatkowo zwiększają bezpieczeństwo marszu w uszczelinionym terenie. Wędrowkę nocą umożliwiał fakt, iż o tej porze roku (czerwiec, lipiec) słońce nad Alaską nie zachodzi. Zbliża się do linii horyzontu, zmienia barwę, ale nie znika. Tak więc konkurs na najmniej przydatny na wyprawie sprzęt wygrywa ten, kto weźmie ze sobą czołówkę. Po wiem w tajemnicy – znalazł się taki między nami! Zawsze w góry brał czołówkę, więc i teraz zabrał.

W czasie przejścia lodowca najwięcej emocji dostarczył nam Kaziu; zobaczyliśmy z daleka, jak w pewnej chwili zaczął gwałtownie machać rękami, krzyczeć i nagle... zniknął. Ogarnął nas niepokój. Chociaż był to odcinek stosunkowo bezpieczny i nic się nie powinno było zdarzyć, przyspieszyliśmy kroku. Gdy po godzinie dotarliśmy na miejsce zdarzenia, nasz przyjaciel głosem pełnym jeszcze wzburzenia i emocji opowiadał: – *Czy wiecie, że mi o mało sanek diabli nie wzięli? Węzeł, którym się od 20 lat wiąże i który nie miał prawa się rozwiązać, patrzę – rozplata się. I widzę moje sanki prujące gdzieś w dół po lodowcu. Cały „dorobek życia”, cholera jasna, sunie prosto do szczeliny i znika – paszport, bilet lotniczy na powrót, po prostu wszystko... Rzucam się za nim i wyobraźcie sobie – sanki przeskoczyły szczelinę i stoją po drugiej*

stronie wbite na sztorc w śnieg. Z duszą na ramieniu, bez asekuracji, przechodzę mostek śnieżny i oglądam – jest chyba wszystko.

– Oj, to dobrze Kaziu, bo do naszej Ambasady w Stanach daleko i musiałbyś już chyba do końca życia za „guida” na Alasce robić!...

Po przejściu tzw. Windy Corner (Wietrznego Kąta) i dotarciu do „14” (obóz na wys. 14.000 stóp, czyli ok. 4.300 m npm) teren zdecydowanie zaczął się spiętrzać i na znacznym odcinku był zaporęczowany. Od tej chwili należało zacząć działać wahadłowo – zdobywać aklimatyzację, wynosząc depozyt wyżej, i wracać do „14”. Wkrótce mieliśmy założoną „17”.

Niewątpliwą atrakcją zarówno „14” jak i „17” były... kibelki. Zbudowane na kształt latryn, z niskimi bocznymi osłonami, umożliwiały swobodną i niczym nie skrępowaną kontemplację przestrzeni. Ten w „17”, niczym tron, osłaniał majestat tylko z jednej strony i to nie od gawiedzi, czyli namiotów ale oczywiście od nawietrznej. I słusznie.

Wejście drogą normalną na Denali przez „West Buttress” nie należy do trudnych technicznie. Co się natomiast dzieje przy załamaniu pogody, może opowiedzieć Ryszard, który już wcześniej prowadził 3 wyprawy na McKinley. W czasie jednej z nich 8 dni musieli przeczekać w „17” w zawiei i zadymce, racjonując żywność i stale odkopując namioty ze śniegu. Tylko Ryszard podjął wówczas uświęczone powodzeniem ryzyko zdobycia szczytu. Innym razem, gdy zaplanował zdobycie Góry dokładnie w dzień swoich urodzin, zejście z niej o mało nie zakończyło się tragicznie. My na szczęście trafiliśmy na lepszą pogodę i wykorzystaliśmy szansę.

Po pięćdziesięciu latach

Ode mnie wyjście na dach Ameryki Płn. wymagało szczególnego hartu ducha, jako że nie mogły mi się przytrafić gorsze dni na wspinaczkę. Na dodatek ze względów taktycznych nasz zespół rozpoczął atak szczytowy z „14”, mając do pokonania do wierzchołka prawie 2000 m. Na tych wysokościach to naprawdę nie bagatelka. Nie mogłam jednak zbytnio narzekać, aby przypadkiem nie usłyszeć – **Wiadomo, z babami to tak zawsze...**! Szłam więc bardzo wolno po tzw. Football Fields, rozległych podszczytowych polach śnieżnych, wyprowadzających przez duże spiętrzenie – aż na grań szczytową. Tutaj, pomimo olbrzymiego zmę-



Obóz na Alasce

czenia, należało się mocno skoncentrować. Długie jej fragmenty to niemal przejście po śnieżnej równoważni. Takie akrobacje na wys. 6000 m nie zawsze uchodzą bezkarnie. Myślałam tylko o tym jak bezpiecznie przebyć ten bardzo piękny ale trudny odcinek i bezkolizyjnie wyminąć schodzący już w dół zespół.

Wolniutko, trochę przytłumiona, pokonałam ostatnie, łatwiejsze już partie drogi. Podniosłam głowę i dopiero wówczas rozejrzałam się dookoła, góry i chmury w złocistych blaskach późnowieczornego słońca tworzyły niezwykłą kompozycję. Była godz. 22²⁰ i zaczęło się robić bardzo mroźno. Jak to dobrze, że nie czeka mnie tej nocy schodzenie po ciemku! Powoli zaczęło ogarniać mnie wzruszenie uświadomiłam sobie, że właśnie otrzymałam od losu wspaniały dar – drugi już po Aconcagui klejnot Korony Ziemi.

Tej nocy towarzyszyła mi refleksja. Dokładnie 50 lat wcześniej na Denali weszła moja imienniczka – Barbara Washburn. Była pierwszą kobietą na wierzchołku tej góry. Stojąc na szczycie myślałam, jak bardzo inne musiało być tamto wyjście, tamten sprzęt, ubranie i warunki działania. I tylko jedno – wiem – pozostało niezmiennie: trud i zmęczenie wspinaczką, a potem olbrzymia, olbrzymia radość z sukcesu i wspaniałego przeżycia.

...

Z trzynastu osób biorących udział w wyprawie na Denali weszło dziesięć, z naszej siódemki – wszyscy. Myślę, że w znacznym stopniu zawdzięczamy to alaskańskiemu doświadczeniu Ryska Pawłowskiego.

Wyjazd na Alaskę okazał się bardzo krótkim, o wiele za krótkim, ale jakże egzotycznym przystankiem przed próbą zmierzenia się z wysokością 8.000 m. Czworo z nas miało wziąć wkrótce udział w wyprawie na Gasherbrumy w Karakorum.

Wyżej niż marzenia

Przystanek – Okęcie

Po powrocie do kraju mieliśmy zaledwie kilka dni na przepakowanie i dopełnienie niezbędnych formalności. Na początku wszystko szło źle. Tworząc grupę pościgową (Piotr Pustelnik z czwórką innych uczestników wyjechał już 10 dni wcześniej) musieliśmy w ciągu kilku dni sformalizować nasze wize pakistańskie.

Niestety – okazało się, że konsul i ambasador, jedyni mogący je podpisać, są nieosiągalni ze względów urlopowo-chorobowych. Szczęśliwie wstawiennictwo pracownika polskiej ambasady w Islamabadzie, określone później przez niego samego jako największy sukces w karierze dyplomatycznej, sprawiło, iż... na pięć przed dwunastą otrzymaliśmy wize.

Następny stres czekał nas na lotnisku w Londynie. Błędnie poinformowani, musieliśmy sporo dopłacić za nadbagaż, a na domiar złego służby bezpieczeństwa zakwestionowały przewóz aparatu prądotwórczego – Hondy, w który byliśmy wyposażeni przez firmę sponsorującą Eryka, który dołączył do nas jeszcze w Warszawie. Agregat straciłmisy – jak się później okazało – bezpowrotnie.

W tym kontekście najmniejszym już problemem był siedzący obok nas w samolocie Pakistańczyk o rozwiniętej do tego stopnia chorobie lokomocyjnej, że dała ona o sobie znać jeszcze przed startem, kiedy samolot bezpiecznie stał na ziemi.

Islamabad, Baltoro i spotkanie... Borsuka

W końcu samolot wystartował i rozpoczęliśmy naszą podróż w Karakorum, olbrzymie pasmo górskie, w obrębie którego wznoszą się cztery ośmiotysięczne góry, w tym wspaniałe K-2. Kara – czary, korum – piarg, dwa słowa tureckiego pochodzenia dające nieco mylne wyobrażenie o charakterze gór tego rejonu. Zbudowane bowiem z gnejsów i granitów tworzą w okolicach lodowca Baltoro wspaniałe, ostre iglice i turnie skalne tak rzadko spotykane w górach najwyższych. Turnie Trango, Mustagh, czy w końcu słynne Świetliste Ściany Gasherbruma

IV zachwyca chyba najbardziej wybrednych miłośników skały.

Na obszarze Karakorum znajdują się lodowce należące do najpotężniejszych lodowców górskich Ziemi: Siachen (75 km długości), Hispar (61 km), Biaofo 80 km), Baltoro (58 km).

Góry Karakorum, oddalone dość od oceanu i osłonięte przez Himalaje przed wiatrami monsunowymi, mają bardziej niż one stabilną pogodę, co wyraźnie wpływa na wydłużenie okresu sprzyjającego działalności alpinistycznej. Była ona jednak przez długi czas warunkowana także czynnikami politycznymi, bowiem obszar górski Karakorum położony jest na terenie Chin, Indii i Pakistanu, roszczących sobie pretensje do prowincji Kaszmir. Wszelkie konflikty zbrojne między tymi państwami powodowały zawieszenie działalności alpinistycznej.

Pomimo wielu trudności, Polacy działali w rejonie Karakorum bardzo intensywnie, głównie po 1970 r., dokonując wielu pierwszych wejść na wysokie siedmiotysięczniki, jak i prowadząc nowe drogi na zdobyte już ośmiotysięczne szczyty, m.in. na Gasherbrum I (8047 m) i Gasherbrum II (8035 m). W 1975 r. na wierzchołku Gasherbruma II stanęły m.in. Halina Krüger-Syrokomska i Anna Okopińska; wejście Polek było ówczesnym kobiecym rekordem wysokościowym Europy.

Po wylądowaniu w Islamabadzie charakterystyczne wieże meczetów oraz zielone flagi z półksiężycem i gwiazdami nie pozwalały ani na chwilę zapomnieć, że jesteśmy w państwie islamskim.

W Ministerstwie Turystyki, po załatwieniu formalności, zostaliśmy przez urzędnika obrzuceni... pachnącymi płatkami jaśminów. Na szczęście! Pokrzepieni tym na duchu, wsiedliśmy do wylądowanego po dach zdezelowanego autobusu. Było południe. Nagrzane, wibrujące upałem powietrze odbierało resztki sił. Ktoś nie wytrzymał:

– I gdzie tu ta cholerna, obiecowana przez Ashrafa klimatyzacja?

– Nie marudź, stary. Walnij się w cieniu, otwórz okno i uruchom wyobraźnię. Pomyśl o lodowcach i uważaj żebyś się nie odmroził...

Ruszyliśmy. Ciężarówki i autobusy, podobnie

jak w Nepalu, kolorowe i fantazyjnie zdobione. Za oknami coraz mniej domów, coraz więcej egzotycznej zieleni. Poznają jedynie eukaliptusy, bananowce, coś jakby palmy.

W Skardu przesiadamy się na jeepy. Plecaki mocujemy bardzo mocno, bo wyboista droga po stromych skalnych zboczach, gdzie zakręty trzeba nierzadko „brać na dwa, trzy razy”, stwarza realne zagrożenie utraty bagażu. Wreszcie Askole. Wysokość ok. 3000 m. Od tego miejsca bierzemy plecaki i razem z portersami ruszamy karawaną. Początkowo wędrujemy wspaniałym, górzystym terenem, od czasu do czasu między kwitnącymi krzewami róż. Dochodzimy do Payu. To ostatnie zielone miejsce. Tu portersi zwyczajowo robią dzień przerwy i nic nie skłoni ich do dalszego marszu. Przygotowują placki zwane *czapati* na dalszą drogę, zarzynają prowadzoną cały czas kozę, uczują, bawią się i tańczą. To ostatnie chwile przed wkroczeniem w mało gościnne otoczenie lodowca Baltoro.

Pomimo ciepła i zieleni czuć już powiew gór wysokich. Podobno przejście Baltoro to przygoda sama w sobie. Na lodowcu najlepiej trzymać się środka karawany. Portersi doskonale znają wszelkie przejścia i wyszukują najdogodniejsze w danej chwili warianty. Jednak magnetyczny urok wspaniałych turni Trango i Mustagh wabi nas. Wpatrzeni we wspaniałe formy skalne, fotografując je, zupełnie nie zauważamy, że oddaliliśmy się od karawany i jesteśmy niemal na środku lodowca.

– *Eryk, chyba ścieżkę nam gdzieś wcięło.*

– *Jak to wcięło?*

– *Po prostu – rozglądnij się!*

Dokoła jedynie stożki osypujących się kamieni, lodowcowe oczka jeziorok i od czasu do czasu, w przytłaczającej ciszy, plusk osuwających się do wody kamieni. I tak na kilkaset metrów wokół. Patrzymy na siebie niepewnie. I chociaż Eryk nic nie mówi, dają głowę, że myśli o tym samym – o naszych kolegach, którzy parę lat temu po Baltoro błędzili dwa dni. Próbujemy odszukać swoje ślady – nic z tego. Osypujące się piargi, poprzetykane jeziorkami, utrudniają utrzymanie kierunku wśród księżycowego terenu lodowca. Wtem...

– *Popatrz, hurra – jest kopczyk!*

– *Jaki znowu kopczyk? – Tutaj pełno kamoli, jeden na drugim, udają tylko kopczyki.*

– *Nie, nie – popatrz tutaj.*

Rzeczywiście, jest wyraźny kopczyk – na metr wysoki. Niemożliwe żeby nie ułożyła go ludzka ręka. Szukamy wokół następnego. Na próżno. Kopczyk okazał się tym, czym muchomor z wiersza Harasymowicza, który powiedział o sobie: *A czy ja jestem do jedzenia? Ja jestem abstrakcja!*



Barbara Batko i Ryszard Pawłowski

Nie pozostało nam nic innego, jak przyjąć azykut „na zdrowy rozum”. Trzymając się go uporczywie, po dwóch godzinach szczęśliwie znaleźliśmy się na powrót w środku naszej karawany.

Do bazy, położonej na wysokości 5200 m na styku Abruzzi Glacier i Southern Gasherbrum Glacier, dotarliśmy w lekkim załamaniu pogody, przy padającym śniegu. W bazie tłok, chyba kilkanaście wypraw. Z naszych – tylko Krzysiu i Borsuk (Krzysztof Gardyna i Jarek Żurawski) w namiotach, reszta – w górach. Piotr, Józek i Jarek przymierzają się do ataku szczytowego na G I, a Jurek i Darek, którzy „uciekli nam” w czasie postoju w Payu, wyszli aklimatyzacyjnie na G II. Chłopcy założyli już obóz pierwszy i „dwójkę” na obu górach (Gasherbrum I i Gasherbrum II to dwa najbliższe sobie położone ośmiotysięczniki, dla których wspólna jest zarówno baza, jak i obóz pierwszy na wys. ok. 6000 m).

Po łączności radiowej okazało się, że trójka z G I na skutek załamania pogody wycofuje się. Godz. 20.00 – kolejna łączność. Krzysztof bierze radiotelefon:

– *Tu baza, tu baza do Piotra. Gdzie jesteście? Odbiór.*

– *200 metrów od namiotów, Wielebny. Szykujcie żarełko i herbatkę. Zaraz będziemy u was. Bez odbioru – słyszymy w radio rozbawiony głos Piotra.*

Po kilku minutach wchodzi Piotr, zmęczony, ale jak zwykle uśmiechnięty, mówi:

– Jak żyję takiego wrednego lodowca nie widziałem – szczeliny się otwierają, szable mocujące poręczówki wytapiają się w tej temperaturze i na myśl o ponownym przejściu – ciarki mnie przechodzą. Trzeba wychodzić nocą, im wcześniej, tym lepiej...

Po tych słowach kurczę się w sobie. Piotr jest doświadczonym himalaistą. Był już na siedmiu ośmiotysięcznikach i jeśli tak mówi, to znaczy, że rzeczywiście jest źle.

Zaczynam się bać. Powracają dawne koszmary – osiem lat temu w Alpach, przy przeskoku przez szczelinę... Potem gips... Potem tak długo musiałam czekać.

Wyżej niż marzenia

Po dwóch dniach w bazie, o trzeciej w nocy wychodzimy większą grupą do „jedyńki”. Faktycznie – odcinek wyjątkowo niebezpieczny. Trzeba bardzo uważać, ale w końcu docieramy. Czuję się zmęczona. To, że obóz pierwszy był już założony, nie oszczędziło nam przecież wyniesienia „naszego” namiotu, sprzętu i żywności. A wysokość prawie taka, jak na szczycie Denali.

Do zaaklimatyzowanych już Piotra, Józka i Janka dołącza Ryszard i jeszcze tego samego dnia wyruszają do obozu drugiego na G I. Tylko oni, najbardziej doświadczeni z nas, wykupili pozwolenie na ten trudniejszy z dwóch ośmiotysięcznych Gasherbrumów. Eryk i ja następnego dnia wyruszamy do „dwójki” na G II, aby wynieść depozyt i spędzić noc dla aklimatyzacji. Tam „dochodzimy” Borsuka i Krzysztofa, który jako że niedziela, postanowił odprawić mszę św. W upale południowego słońca, w oślepiającej bieli śniegów staliśmy się uczestnikami tego niepowtarzalnego wydarzenia.

Na następny dzień, już po zejściu do bazy, śledziliśmy z Erykiem przez radio wydarzenia w górach. Właściwie cały czas byliśmy na nasłuchu. Wreszcie koło południa słyszymy głos Krzysia z Gasherbruma II:

– Tu Krzysztof, tu Krzysztof do bazy. Słuchajcie – jestem na szczycie! Pogoda piękna, Borsuk zaraz tu dotrze.

– Tu baza, tu baza. Wspaniale, że się Wam udało. Trzymamy kciuki za zejście!

Krzysztof nie przepuścił okazji, że znalazł się – jak mawiają chłopcy z seminarium – bliżej „Szeffa”. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby ktoś tak wysoko, wyżej niż 8000 m, odprawił mszę św.

Tymczasem na G I Józek zgłaszał, że są 30 min

od szczytu, ale nie mogą znaleźć... wierzchołka! To nie żarty. Gdy partie szczytowe są rozległe, trudno zdecydować, które wzniesienie jest najwyższe. W końcu stanęli na szczycie! Gratulacje, dzielenie się wrażeniami, słowa radości. W tym samym dniu wyprawa zdobyła G I i G II. To już jest coś!

Przyznam jednak, że Erykowi i mnie troszkę było żal, że nam wypadło jeszcze czekać. Jurek i Darek pewnie za dwa dni będą na górze, a my? A jeśli pogoda się załamie? Tak bardzo bliskie wydały nam się słowa piosenki „Budki Suflera” rozbrzmiewającej z taśmy walkmana – „*Czasem myślę, że mi szczęścia brak, wszystko w życiu się układa wspak*”. Ale już przy słowach – „*Inni głową dotykają chmur, mają jakiś patent, jakiś wzór, albo z nieba usłyszeli głos – to wystarczy im na lepszy los*” uśmiechnęliśmy się do siebie porozumiewawczo, myśląc o „niebiańskich koneksjach” Krzysztofa. No cóż, pewnie nawet wiatr przycicha, gdy Krzysь przepina się na poręczówkach.

Po dwóch dniach również my wyruszamy do góry. Nocą, bo przecież – „Fredki tylko czeka” („Fredki” to taka personifikacja grozy lodowca i nawiązanie do zwłok sprzed 20 może lat, które lodowiec „wypluł” niedaleko miejsca naszej bazy; swoiste psychiczne osvajanie niebezpieczeństwa). W „jedyńce” czeka na nas Ryszard, który postanowił uniknąć powtarzania przejść tego najtrudniejszego odcinka. Wyruszyliśmy do „dwójki”, w której spędziliśmy noc. Teren ponad nią spiętrzony i pocięty serakami przebyliśmy szczyśliwie. Czuliśmy się dobrze, więc w obozie trzecim tylko odpoczęliśmy, a następną noc spędziliśmy już w „czwórce”, na wys. 7500 m.

Rano rozpoczęliśmy decydujący atak. Pogoda była ładna, chociaż w powietrzu „coś mówiło”, że takie warunki długo się nie utrzymają. Jeszcze chwila i dojedziemy do odcinka ostrej grani szczytowej. Pamiętamy, że właśnie gdzieś z tego miejsca kilka lat temu, na skutek gwałtownego załamania pogody, Józek musiał zawrócić. Tak niewiele mu wtedy brakowało do szczytu!

Mobilizujemy się. Ryszard jest w świetnej formie i filmuje, jak Eryk i ja wolniutko dochodzimy do wierzchołka. 8035 m! Nigdy wcześniej nie byliśmy tak wysoko.

Gratulujemy sobie, robimy zdjęcia, bierzemy kawałki skały na pamiątkę. Widoki wokół takie, że tego się nie da opisać. I tylko nie wiem, czemu nie cieszę się tak „do końca”. Czy to zmęczenie, czy fakt, że rzeczywistość przerosła marzenie?

A może to przecucie tego, co miało się jeszcze wydarzyć?

Lekcja

Schodzimy, mijając się w „czwórce” z wychodzącą do góry grupą Piotra. Zejście do „jedynek” ze względu na padający śnieg jest bardzo uciążliwe. Z niepokojem myślimy o kolegach.

Po zejściu ze ściany zdejmujemy raki. Śnieg lepi się do ich zębów, tworząc pod butami śnieżne kule, co znacznie utrudnia poruszanie się. To był błąd. Błędem też było, że idąc w górę nie zdeponowaliśmy pod ścianą dodatkowej liny (wyżej poruszaliśmy się po założonych poręczówkach) – wtedy warunki tego nie wymagały. Teraz ten brak wyobraźni zemścił się. Pole lodowca między ścianą a namiotami „jedynek” zrobiło się bardziej uszczelinione niż kilka dni wcześniej. Nagle w odległości nie większej niż 500 m od namiotów, pod jednym z nas śnieg zapada się, otwierając głęboką, kilkudziesięciometrową lodowo-śnieżną szczelinę. Nie chcę tego opisywać. Wiem tylko jedno – nikt z naszej trójki nie chciałby raz jeszcze przeżyć czegoś podobnego, przez tych kilkanaście minut (a może to było pół godziny?) tak bardzo, bardzo mocno odczuliśmy intensywności istnienia.

Tym razem „Fredzi” wypuścił nas ze swych objęć, dając jedynie brutalne ostrzeżenie i lekcję pokory.

Gdy po kilku dniach pogoda się poprawiła, schodziliśmy do bazy, wspólnie już z Piotrem, Józkiem i Jackiem, którym „za pięć dwunasta”, czyli tuż przed załamaniem pogody, udało się wejść na wierzchołek. I co tu dużo mówić – prawdziwą radość poczułam dopiero jakieś 300 m od namiotów bazy, po przebyciu po raz ostatni tego „wrednego lodowca”, gdy piłam herbatę podaną przez kucharza, który wyszedł nam na spotkanie. Napięcie opadło. Gratulacje portersów, szczere uściski wspólna radość – raz jeszcze uświadomiły mi, że góry to przede wszystkim kontakt z drugim człowiekiem. I nieważne, czy to Tatry, Himalaje czy Karakorum, islam czy buddyzm. Ważne, że wzajemnie możemy się cieszyć swoją życzliwością, pomocą i wspaniałą górską przygodą.

Jak natomiast w dobrej wierze pokonywać bariery kulturowe i religijne, pokazał nam nasz kucharz, któremu islam zabrania spożywania alkoholu, a który chciał w pełni uczcić z nami szczęśliwe zakończenie wyprawy. Przypadającą na niego nakrętkę Johny Walkera wychylił „w parterze”, pod blatem stołu, wykoncyrował bowiem sobie, że pod podwójną osłoną – namiotu i blaszanej płyty – Allah go nie dojrzy.

CHANGABANG (6864 m) — północną ścianą

Na przełomie maja i czerwca 97 kilkusobowa ekspedycja brytyjska pokonała w stylu alpejskim po raz pierwszy 1600-metrową północną ścianę Changabang. Droga wymagała wyjątkowej mikstowej wspinaczki w spionowanej, ale za to nie narażonej na lawiny połaci ściany. Charakter drogi przypomina północną Droites. Pokonało ją czterech członków wyprawy: Steve Sustad, Mick Fowler, Brendan Murphy i Andy Cave. Z powodu załamania pogody tylko dwóm ostatnim udało się osiągnąć szczyt. Aby uniknąć „przeludnienia” na biwakach początkowo działano jako dwuosobowe niezależne zespoły, które weszły w ścianę w kilkudniowych odstępach. Po dwóch dniach wspinaczki drugi zespół połączył się z prowadzącą dwójką.

Zejście zwycięskiej czwórki miało bardzo dramatyczny przebieg. Najpierw Fowler i Sustad spadają z grani szczytowej z nawisem śnieżnym 70 metrów, następnie dostają się w lawinkę lodową, w wyniku której Sustad doznał złamania kilku że-

ber. Niedługo później Brendan Murphy zostaje zagarnięty przez lawinę podczas zakładania stanowiska zjazdowego i spada ponosząc śmierć. Dopiero po trzech dniach wyczerpującego zejścia udaje się pozostałej trójce osiągnąć namioty bazowe. Całość akcji trwała dla Andy Cave 15 dni, dla pozostałej dwójki 13.

Przejście północnej ściany Changabang należy niewątpliwie do najlepszych osiągnięć roku 97 w Himalajach. Przypomnijmy, że historię zdobycia Changabang coraz to nowymi drogami tworzyły takie znakomitości jak: Peter Boardman, Joe Tasker, Alex McIntyre, Wojtek Kurtyka, John Porter i Krzysztof Żurek. Sam szczyt został zdobyty po raz pierwszy dopiero w 1974 przez wyprawę angielsko-indyjską.

Opracował Piotr Nowak na podstawie „Klettern” nr 1, 1998 r.

Sierra el Brujo – Góry Czarnoksiężnika

Pomysł wyprawy w Andy Chilijskie zrodził się z potrzeby przełamania stereotypu eksploracji gór Ameryki Południowej. Ogromna większość polskich wypraw udających się w tamte rejony ogranicza się do Aconcagui jako najwyższego szczytu. Mamy wyjścia drogami klasycznymi, trudniejszymi, eksperymentalnymi, mamy latanie na glajtach, jeżdżenie na rowerach, próby dokonania czegoś ekstra.

Tymczasem w samym Chile według tamtejszej Federacji Andynizmu znajduje się ponad dwa tysiące szczytów nie tkniętych ludzką stopą.

W związku z tym postanowiliśmy podjąć eksplorację Sierra el Brujo – Gór Czarnoksiężnika, pasma położonego około 250 km na południe od Santiago. Są to góry lodowcowe o charakterze alpejskim ze szczytami sięgającymi 5.000 m n.p.m. Według informacji i map, jakie udało nam się zdobyć, tylko kilka szczytów miało nazwy. Przy wydanej pomocy byłego ambasadora RP w Chile prof. Zdzisława Ryńskiego nawiązaliśmy kontakt z Rodolfo Saezem – geografem z wykształcenia, a andynistą z zamiłowania, który obiecał nam przyłączenie się do naszej ekspedycji i pomoc w załatwieniu wszelkich formalności na miejscu.

Poszukiwanie sponsorów i organizowanie wyprawy trwało pół roku. Ostateczny skład wyglądał następująco: Sławek Riemen, Sławek Makaruk, Jan Muskat, Grzegorz Gaj i Wojtek Wiltos.

Każdy z nas miał przydzieloną swoją działkę. Sławek Riemen zajął się organizacją sprzętu, Sławek Makaruk wziął na siebie działkę transportu samochodami terenowymi oraz pełnił rolę tłumacza, Jan Muskat odpowiadał za stronę alpinistyczną przedsięwzięcia, Grzegorz Gaj utrwał w wszystkim na filmie, a ja byłem koordynatorem tych działań. Wstępny plan był następujący: dotarcie samochodami terenowymi jak najbliżej lodowca Universidad, założenie bazy i próba eksploracji przy użyciu sprzętu do ski-alpinizmu. Wyprawa miała bowiem charakter bardziej eksploracyjny, rozpoznawczy niż sportowy. W przeddzień wyjazdu 19 stycznia zostaliśmy przyjęci przez ambasadora Republiki Chile



Uczestnicy wyprawy nad jeziorem Caballo Muerte: stoją od lewej S. Makaruk, S. Riemen, J. Muskat. Klęcza: W. Wiltos, G. Gaj.

w Polsce pana Vicente Sancheza, który wyraził zadowolenie z wyjazdu polskiej ekspedycji do jego kraju.

20 stycznia o godzinie 16 samolotem British Airways przez Londyn i Rio de Janeiro odlecieliśmy do Santiago. Pierwsze dwa dni poświęciliśmy na spotkania i wywiady promujące naszą wyprawę. Spotkaliśmy się z przewodniczącym Chilijskiego Komitetu Olimpijskiego, z władzami Chilijskiej Federacji Narciarskiej, oficerami wojskowych służb górskich, andynistami, dziennikarzami z prasy i radia chilijskiego.

Podczas spotkań staraliśmy się przekazać jak najwięcej informacji o Polsce, o Tatrach, o polskiej szkole alpinizmu, o metodach ratownictwa górskiego i o zamierzeniach naszej wyprawy.

24 stycznia po zakupieniu żywności, załadunku dwóch samochodów terenowych, jakimi dysponowaliśmy – łącznie z motorem crossowym, który miał nam służyć w miejscach gdzie jeepy nie



Góry Czarnoksiężnika – Sierra el Brujo.

mogłyby dojechać, wyruszyliśmy w góry. Do naszej wyprawy oprócz Rodolfo Saeza dołączyło jeszcze dwóch Chilijczyków. Droga wiodła przez stolicę regionu San Fernando, a następnie wzdłuż rzeki Tinguiririca. Była to duża lodowcowa rzeka o charakterystycznej rudoczerwonej barwie i niebezpiecznym nurcie. Droga wydrążona przez buldożery wiodła kilkadziesiąt metrów powyżej linii brzegu. Po pięćdziesięciu kilometrach dotarliśmy do miejsca gdzie powinniśmy się przeprawić na drugą stronę.

Wtedy okazało się jak szybko życie może zweryfikować plany. Na tydzień przed naszym przyjazdem został zerwany jedyny most łączący dolinę prowadzącą do Gór Czarnoksiężnika z cywilizacją. Prędkość i siła wody była tak ogromna, że wszelkie próby przeprawy kończyły się fiaskiem. Wydawało się, że wyprawa załamie się zaraz na początku. O ile przeprowienie ludzi po resztkach mostu byłoby możliwe, o tyle nierealny byłby transport sprzętu. Jedynym wyjściem było użycie pontonów. We współpracy z firmą organizującą rafting podjęliśmy próbę przedostania się na drugi brzeg. Wiązało się to jednak ze znacznym ograniczeniem naszego bagażu. Przeprawa dostarczyła wszystkim dużo emocji łącznie z przepławiającymi, ponieważ robili oni to po raz pierwszy w górnym nurcie. Nie obyło się również bez wypadku. Rodolfo podczas asekuracji pontonu uszkodził sobie poważnie dłoń. Po przepławieniu się na drugą stronę poznaliśmy zarządzającego tymi terenami Indianina – Fernando. Obiecał nam wynajęcie koni do transportu w zamian za pomoc przy budowie przeprawy linowej nad rzeką. Następnego dnia poświęciliśmy na konstruowanie mostu.

Fernando dotrzymał słowa – zaprowadził nas na łąkę, gdzie swobodnie biegało stado koni. I już po paru godzinach mogliśmy wyruszyć. Temperatura dochodziła do 30 stopni, rudy pył wciskał się wszędzie, a „sucha miłość” czepiała się nóg. Były to kulki o kilkumilimetrowej średnicy zaopatrzone w twarde kolce przebijające skórę. Przed nami rozciągał się widok na El Brujo, górę od której rozpoczynało się całe pasmo. Robiła duże wrażenie, ponieważ kontrastowała z charakterem innych gór w tym rejonie. Wyglądało tak jakby ktoś umieścił granitowego ośnieżonego kolosa wśród łagodnych rudoczerwonych wzgórz. Po siedmiu godzinach marszu dotarliśmy do miejsca, skąd konie musiały zawracać. Z przerażeniem stwierdziliśmy, że El Brujo wcale się nie przybliżył. Zdaliśmy sobie sprawę jak ciężka praca transportowa nas czeka. Musieliśmy się poruszać z ogromnymi plecakami po zupełnie nieznanym terenie. Nasz dzień wyglądał następująco: rekonesans Jana Muskata celem rozpoznania terenu i wybrania miejsca na obóz, następnie pierwsza tura transportowa z plecakami, powrót i druga tura. Posuwaliśmy się wzdłuż rzeki San Andres po bardzo nieprzyjemnym do chodzenia terenie. Chilijczycy widząc co nas czeka postanowili się wycofać. Zostaliśmy więc w piątkę. Niesamowite były ogromne skróty przestrzenne i odległości. Coś, co wydawało się o kilka godzin drogi, w rzeczywistości było oddalone o dwa dni. Teren stawał się coraz trudniejszy.

Musieliśmy pokonać kilkusetmetrowy próg skalny trawersując po bardzo kruchych piargach. Przypominało to jedną wielką bibliotekę. Po oberwaniu jednego kamienia mogła się zyspać cała góra.

Po pięciu dniach dotarliśmy do lodowca Universidad. Wtedy ujrzelśmy Góry Czarnoksiężnika w pełnej krasie. Są to kilkusetmetrowe ściany poprzetykane serakami i stanowiące wyzwanie dla najlepszych.

Po odpoczynku postanowiliśmy zdobyć czterościenne szczyt nie leżący w paśmie Sierra el Brujo, lecz stanowiący ograniczenie jeziora Caballo Muerte.

Jego wierzchołek stanowiły trzy wybitne turnie. Po wstępnym rekonesansie 4 lutego ekipa w składzie: Jan Muskat, Sławek Makaruk i Grzegorz Gaj wyruszyła z dna jeziora Caballo Muerte. Po wspinaczce kruchym terenem na wysokości ok. 3.600 m znajdowało się ogromne pole penitentów. Około godziny 14.30 na dwie dziewicze turnie wspiął się Jan Muskat. Trudności ocenił na III-IV w skali UIAA.

Następnie postanowiliśmy podjąć próbę eksploatacji lodowca Universidad. Po dokonaniu rekonesansu wybraliśmy do atakowania szczyt będący zwieńczeniem grani położonej po prawej stronie lodowca. Sam lodowiec był bardzo trudny do sforsowania, ponieważ szczeliny były wypełnione wodą i o ile w dolnej partii odsłonięte, o tyle wyżej przykryte śniegiem. 7 lutego po biwaku atak szczytowy przypuścili: Jan Muskat, Sławek Riemen i Sławek Makaruk.

Nastąpiło nagłe załamanie pogody, ale pomimo padającego śniegu i silnego wiatru o godzinie 9.23 szczyt został zdobyty. Po odczytaniu wskazań GPS-a i przeniesieniu na mapę okazało się, że tego szczytu nie ma. Zdaliśmy sobie sprawę, że dokładność map pozostawia wiele do życzenia i mając satysfakcję z uzupełnienia kartografii tego rejonu postanowiliśmy nadać szczytowi nazwę Cerro Polonia. Ponieważ załamanie pogody utrzymywało się a my byliśmy ograniczeni czasowo, postanowiliśmy wracać. Podczas zejścia spotkaliśmy legendę andynizmu – 72-letniego profesora Evelio Echeverrię, autora monografii o działalności górskiej w Andach i autora wielu pierwszych wejść na dziewicze andyjskie szczyty. Profesor bardzo ciepło wspominał swoich polskich przyjaciół: Józefa Nykę i Zdzisława Ryna.

Pomimo że nasza wyprawa nie była wyprawą sportową tylko eksploracyjną, udało nam się przełteć szlak do Gór Czarnoksiężnika i umocnić dobrą pozycję polskiego andynizmu w Ameryce Południowej.

Latok II (7108)

14 czerwca 97 wyprawa pod kierownictwem Alexandra Hubera (Niemcy) założyła bazę na lodowcu Uzun Brakk (4400 m). Jej owocem jest kilka nowych dróg o ekstremalnym stopniu trudności.

Zespół w składzie Alexander (28, pierwsze RP „Salathe” na El Capitan) i Thomas (30, drugie RP „Salathe”) Huber, Toni Gutsch (33) oraz Amerykanin Conrad Anker (35) poprowadził nową drogę na zachodniej ścianie Latok II. Ściana zaczyna się 1200-metrowym lodowym kuluarem (do 55 stopni), dalej 900 metrów czystego granitu, ostatnie 100 m to mikst. Wspinaczka miała typowo big-wall styl. Trudności VII/5.10c, A3+ (wg „New Wave Grading”, nowej amerykańskiej skali). W miarę możliwości korzystano z lekkich butów wspinaczkowych. Do wysokości 6800 m rozpięto poręczówki. 19 lipca zespół osiągnął szczyt – jako drugi w historii, po dwudziestu latach przerwy. Akcja ścianowa trwała 8 dni, zejście do bazy 2 dni.

Drugi zespół w składzie: Christian Schlesener i Frany Fendt pokonał Latok II północno-zachodnią granią. Trudności: VI+/A2.

Przed powrotem do domu bracia Huber i Toni Gutsch zaliczyli jeszcze pierwsze wejście na Blabu Brakk (5960), a zespół Thomas-Toni dokonał drugiego wejścia na Spaldang (5590) pokonując trudności do IX – on sight.

Na podstawie „Klittern” nr 1, 1998 r. i „Bergsteiger” nr 12, 1997.

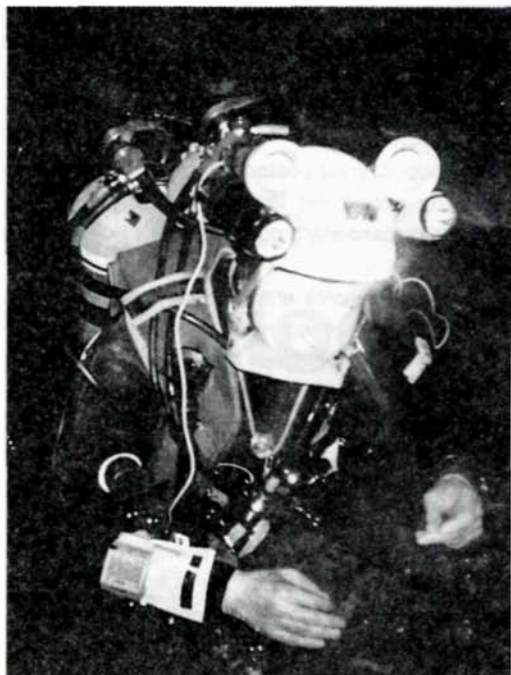
Grenlandia '97

Kurt Albert, Hans Martin Götz, Jurgen Knappe, Holger Heuber i Stefan Glowacz w towarzystwie fotografa Thomasa Ulricha bawili latem we wschodniej Grenlandii. Aby pokonać wymarzony cel – 750-metrową południową ścianę Tupilak zadano sobie „nieco” trudu. Najpierw kajakami przepłynięto w trzy dni 100 km wzdłuż fiordu, następnie cały majdan (m.in. 30 kg żywności na osobę) przeciągnięto przez 50 km łądu. Nowa droga o nazwie „Eiszeit” dostała wycenę 8+. Drogę powrotną do cywilizacji zaliczono w ten sam sposób: pieszo i kajakiem.

*Na podstawie „Klittern” nr 1, 1998 r. i „Alpin” nr 11, 1997.
Opracował Piotr Nowak*

Pokonywanie barier - Ciasne Kominy 97/98

W. Bolek w południowym jezioru przygotowany do nurkowania.



Nurkowanie jaskiniowe jest dyscypliną, przed którą stoją olbrzymie możliwości rozwoju. Istnieje szereg otwartych problemów, w których eksploracja nie jest jeszcze możliwa na obecnym etapie jej rozwoju. Każde, nawet najdrobniejsze usprawnienie techniki czy taktyki zwiększa niesamowicie zasięg penetracji. Rozwój nurkowania jaskiniowego powinien doprowadzić do takiego stanu, że będzie można poruszać się po zalanych korytarzach z taką samą swobodą jak po jaskiniach wypełnionych powietrzem.

Do zasadniczych barier w tej dyscyplinie należą głębokość i odległość. Na dużych głębokościach (poniżej 60 m) powietrze staje się neurotycznym i toksycznym czynnikiem oddechowym. Odległość, jaką można pokonać, jest limitowana czasem na jaki wystarczy czynnika oddechowego. W razie awarii pod wodą nie można przeczekać kilkunastu dodatkowych godzin aż dotrze pomoc.

Przez wiele lat sądzono, że w Polsce nie ma poważnych problemów nurkowych. Jednak odkrycia, jakie miały miejsce w okresie ostatnich dwu lat w Kasprowej Niżniej i Miętusiej zaprzeczyły tym twierdzeniom. W tej ostatniej podczas akcji w grudniu 1996 r. ustanowiono rekord głębokości osiągając -51 m. Dalszą eksplorację uniemożliwiła narzoza azotowa. W tej sytuacji zaistniała konieczność przeprowadzenia nurkowania na mieszankach. Do tej akcji przygotowywaliśmy się przez cały rok

1997. Skorzystaliśmy z doświadczeń amerykańskich i angielskich nurków jaskiniowych. Kluczem do opanowania nowej techniki są: odpowiednie oprogramowanie komputerowe oraz czujniki pozwalające na pomiar składu mieszanki. Za pomocą programu komputerowego można symulować stopień nasycenia poszczególnych tkanek różnymi gazami w trakcie nurkowania. Pozwala to na wyznaczenie harmonogramu dekompresji dla zadanego profilu i składu mieszanek oraz na ocenę poziomu bezpieczeństwa dla poszczególnych wariantów.

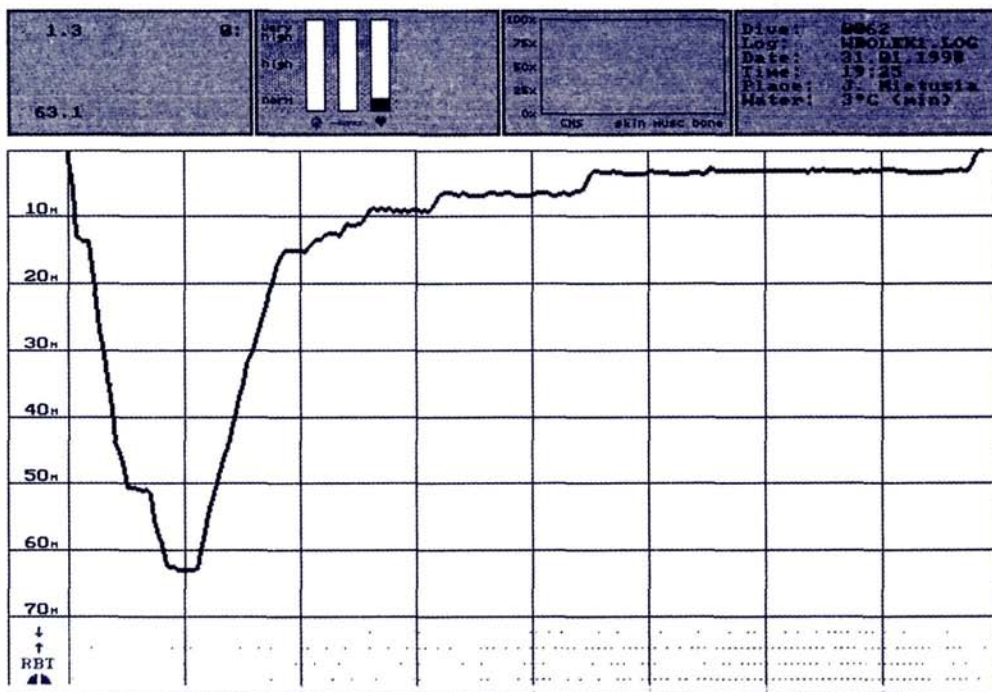
Trimix (15% O₂, 56% N₂, 29% He) przyjęto jako mieszankę na maksymalną głębokość (bottom mix). Po przeprowadzeniu odpowiednich symulacji okazało się, że czas dekompresji można istotnie skrócić stosując nitrox (50% O₂, 50% N₂) do głębokości -12 m. Na odcinek pomiędzy -12 m do -45 m przewidziano powietrze (travel mix).

Cały przygotowany sprzęt i oporęczowanie jaskini udało się zapakować do 15 szpejów. Pod koniec grudnia, gdy zgromadziłem odpowiednią ekipę do transportu, okazało się, że Wiszący Syfonik jest zalany pod strop. W związku z tym byliśmy pozbawieni pomocy w najtrudniejszej części jaskini – w Ciasnych Kominach. W styczniu nastąpiło ochłodzenie i syfon stał się drożny. Początkowo trzeba było go przepływać, ale później był już do przejścia suchą stop. Niestety, zabrakło wtedy odpowiedniej liczby chętnych do transportu. W sumie

w akcjach transportowych wzięli udział: Wiktor Bolek – kierownik, Norbert Ziober (AKG Łódź), Krzysztof Chodaczyński, Maciej Czekierda, Grzegorz Dokurno, Krzysztof Domagała, Andrzej Góralczyk (STJ KW Kraków), Rafał Górecki, Marcin Kaniewski, Wojciech Piotrowicz (SKTJ), Bartłomiej Skorowski, Rafał Szczot (Łódź), Marek Wierzbowski (pozostali SG Wrocław). Dopiero pod koniec stycznia udało się zgromadzić i przygotować cały sprzęt. Na samo nurkowanie poszliśmy już na lekko, co pozwoliło rozpocząć nurkowanie z mniejszym zmęczeniem.

Na stromej skalnej półce w ekwilibrystyczny sposób założyłem wyposażenie. Zanurzyłem się w krystalicznie czystej wodzie południowego jeziora oddychając początkowo nitroxem. Na -13 m zostawiłem tę butlę na dekompresję. Dalej wejściowa studnia przechodziła w łagodnie opadającą piaszczystą pochylnię. Na skalistym dnie zobaczyłem ciężarek, który zostawiłem na ówczesnym końcu poręczówki 2 lata temu. Szybko posuwałem się w dół. Już po 4 minutach znalazłem się nad skalnym progiem na -44 m. Według założeń przyjętych do symulacji punkt ten miałem osiągnąć dopiero po 7 minutach. Zacząłem teraz oddychać trimixem. Poniżej progu korytarz był praktycznie poziomy.

Spąg pokrywała spora warstwa gruboziarnistego piasku. W piątej minucie nurkowania osiągnąłem przodek. Ze zdumieniem stwierdziłem, że był zagrzebany w piasku. Dowiązałem linkę z nowego kołowrotka i ruszyłem na podbój nieznanego. Korytarz początkowo opadał powoli, potem coraz szybciej. Jak dotąd nie wystąpiły żadne problemy. Nie odczuwałem narkozy. Byłem może lekko zdeorientowany. Zapisywałem azymuty, ale jakoś nie mogłem przetłumaczyć sobie tych wartości na przebieg korytarza. Nagle okazało się, że nie ma już czasu na dalsze analizowanie danych. Mój komputer nurkowy pokazał -60 m. Trzeba było zakończyć eksplorację. Osiadłem na dnie. Ze zdumieniem poczułem jak piasek zaczyna osuwać się i wciągać moje ręce. Korytarz w tym miejscu stromo opadał i zalegający na dnie piasek był niestabilny. Tak jak na pustyni wciągał wszystko do swojego wnętrza. Miejsce to nazwałem Ruchome Piaski. Po chwili odzyskałem równowagę i zacząłem stabilizować poręczówkę ciężarkiem. Na kołowrotku dostrzegłem marker 120 m, czyli dołożyłem 25 m nowego. Przesunąłem się, by znalazł się on przed ciężarkiem. Gdy zakończyłem te wszystkie operacje, z przerażeniem stwierdziłem, że jestem na -63 m. O całe trzy metry głębiej niż założono w symulacji.

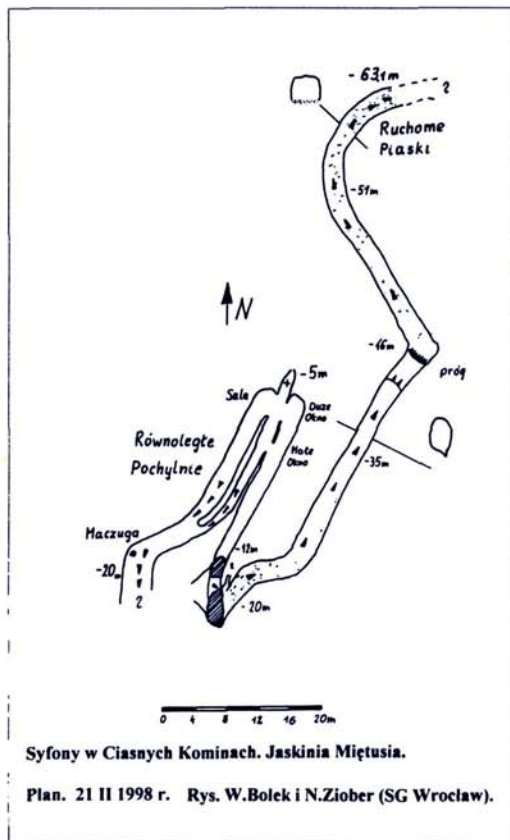


Przekrój rekordowego nurkowania w południowym jeziorze

Takie odstępstwo zwiększało zagrożenie, gdyż wzrastało nasycenie tkanek. Rozpocząłem powrót. Postanowiłem wykonać dekompresję według najgorszego przypadku w posiadanych tabelach. Na -45 m ponownie przeszedłem na powietrze. Po 18 minutach nurkowania rozpocząłem dekompresję. Według symulacji w tym momencie miałem dopiero kończyć eksplorację na przodku. Na szczęście to odstępstwo zwiększało bezpieczeństwo, gdyż przy krótszym czasie nasycenie tkanek jest mniejsze. Pierwszy przystanek zrobiłem na -15 m, a od -12 m oddychałem nitroxem. Zaczynało mi się robić coraz chłodniej, pomimo że miałem na sobie suchy, piankowy kombinezon. Temperatura wody wynosiła 3°C. Oparłem ręce o ścianę i zacząłem mocno pracować płetwami dla rozgrzewki. Duży wysiłek spowodował wzrost zapotrzebowania na tlen i cały nitrox skończył mi się na -6 m. Przystanek na -3 m odbyłem na resztkach powietrza. Wyrzuciłem się po godzinie dekompresji. Późniejsze symulacje dla rzeczywistego profilu wykazały, że mogłaby być o 40 minut krótsza. Ze względu na warunki w jakich odbyło się nurkowanie, przeprowadzona dekompresja zapewniała dostateczny poziom bezpieczeństwa.

Drugie nurkowanie wykonał Norbert Ziober w północnym jeziorku. Jak się ostatnio dowiedzieliśmy nie było ono jeszcze nigdy przedtem penetrowane. Studzienka wejściowa schodzi tutaj na -12 m. Za nią korytarz biegnie dalej na północ. W odległości około 20 cm od lustra wody lewa ściana staje się bardzo cienka i przechodzi w żyletę o grubości kilkunastu centymetrów. Po drugiej stronie korytarz biegnie w przeciwną stronę. Norbert wpłynął do niego przez jedno z okien. Wąski korytarz zaczął stromo opadać. W tym momencie wody uległa zmęczeniu i Norbert musiał przerwać eksplorację. Na końcu zostawił kołowrotek i wrócił do jeziorka. Przy następnej próbie wziął mój kołowrotek z resztką linki – ok. 10 m. Tym razem popłynął w zmaconej wodzie głównym korytarzem dalej na północ. Początkowo wznosił się on do góry, a następnie przeszedł w dużą przestrzeń. W toni, na głębokości -7 m skończyła się linka na kołowrotku. Była to chyba spora sala, bo Norbert nie był w stanie wyczuć ścian. Na dnie były stare pętle zjazdowe, które musiał tam przynieść prąd wody z drugiej strony syfonu.

Po udanej akcji pozostawało już „tylko” wynieść sprzęt. W połowie lutego znalazła się odpowiednia ilość chętnych do transportu. Jednak i tym razem pogoda zniweczyła nasze zamierzenia. Podczas trzech dni intensywnych opadów deszczu nie wyszliśmy nawet z bazy. Taki rozwój wypadków moc-



no nas zdeprymował. Zima miała się ku końcowi i Wiszący Syfonik będzie zalany najprawdopodobniej aż do listopada bądź grudnia. Sprzęt pozostawiony w jaskini był do odzyskania tylko przy każdorazowym nurkowaniu w połowie jaskini. Jest to dosyć koszmarne perspektywa, zważywszy, że nie ma w naszym kraju zbyt wielu osób, które byłyby w stanie uczestniczyć w trudnej akcji jaskiniowej po nurkowaniu.

Nie mając jednak innego wyjścia, poszliśmy we dwóch z Norbertem na retransport. Do jaskini wnieśliśmy dwie dodatkowe butle i sprzęt potrzebny do przepłynięcia Wiszącego Syfonika. Nie byliśmy już w stanie wnieść dodatkowych pasów balastowych. Znacznie utrudniło to przepływanie syfonu. Wobec dużej dodatkowej pływalności trudno było się odebrać od stropu. Kolejnym utrudnieniem były szpeje – również posiadające dodatnią pływalność. Potrafiły się niemiłosiernie klinować we wszystkich wnękach w stropie. Po walce, odpychając się nogami od stropu, udało się przejść na drugą stronę. Zalany odcinek miał długość 5 m i głębokość do 1 m. W Sali Bez Stropu zostawiliśmy sprzęt nur-

kowy i poszliśmy dalej. Wody było dużo. Najbardziej przykra była studnia nad Kaczanosiem, gdzie całym przekrojem lał się obfity deszcz.

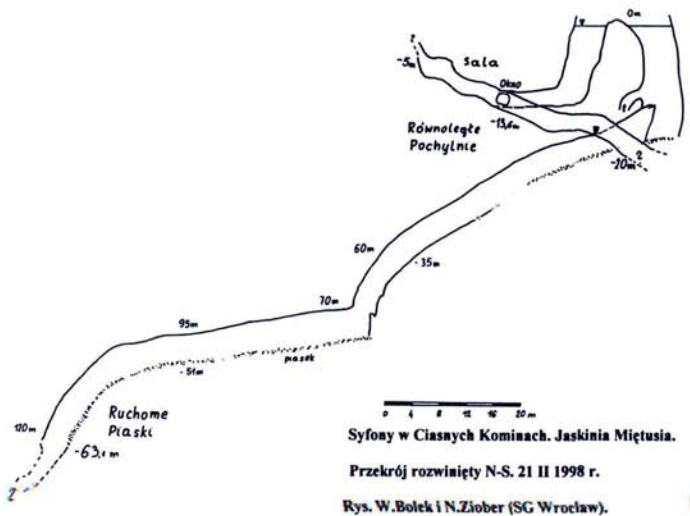
Gdy dotarliśmy do dna Ciasnych Kominów, okazało się, że w dwu ósemkach jest jeszcze po 100 barów. Norbert, który przewidująco wziął ze sobą suchy kombinezon, ponownie zanurkował w północnym jeziorku. Tym razem komfort nurkowania miał znacznie większy ze względu na krystalicznie czystą wodę. W dużym oknie, gdzie poręczówka przechodziła do równoległego korytarza, dowiązał linkę z nowego kołowrotka i popłynął dalej na północ. Znalazł się w obszernej sali, z której w kierunku południowym wychodziły trzy korytarze. Pierwszym z nich przypłynął, drugi wyeksplorował poprzednim razem do 13 m. Natomiast trzeciego dotychczas nie zauważył, ze względu na zmącenie wody. Popłynął jednak najpierw na północ do miejsca, gdzie, jak wynikało z poprzedniej akcji, istniała możliwość wynurzenia się na powierzchnię. Jednak na głębokości -5 m sala przechodziła w wąską, ukośną szczelinę o szerokości 1 m, która dalej biegła w górę. Ponieważ nie był przygotowany psychicznie na przeciskanie się pod wodą, odpuścił na razie ten problem i wpłynął do trzeciego korytarza. Była to opadająca w dół pochylnia. Po kilkunastu metrach drugi i trzeci korytarz łączyły się. Dalej, na głębokości -20 m, pochylnia zakręcała pod kątem 90° na południe. W tym miejscu był bardzo charakterystyczny fragment skały, który otrzymał nazwę

Maczuga. Do niej właśnie Norbert zastabilizował kończącą się poręczówkę. Podczas powrotu wyciągnął jeszcze z drugiego korytarza zostawioną poprzednio poręczówkę z kołowrotkiem.

Po nurkowaniu spakowaliśmy sprzęt i rozpoczęliśmy retransport. Udało się nam zabrać jedynie najcenniejsze rzeczy. Ciężkie butle zostawiliśmy w przebieralni nad III Studnią. Podczas wychodzenia najbardziej wyczerpujące było pokonanie studni nad Kaczanosiem, gdzie do szpejów dostało się dużo wody, przez co ważyły chyba po 20 kilo. Co gorsza okazało się, że koszulka liny jest w wielu miejscach uszkodzona w związku z intensywnym przepływem wody. Po ponownym przenurkowaniu Wiszącego Syfonika byliśmy na tyle zmęczeni, że porzuciliśmy wszystko w meandrze przed Komorą z Matką Boską i Ciasnym Korytarzykiem wyszliśmy na lekko. Szpeje wynieśliśmy dopiero następnego dnia po odespaniu 18-godzinnej akcji.

Kampania zimowa 97/98 w Ciasnych Kominach była bardzo ciężka. We znaki dała się fatalna pogoda, która uniemożliwiała wzięcie udziału w transporcie większej liczbie osób. Doniesienie wszystkiego na miejsce wymagało wielokrotnych, kosztownych wyjazdów do Zakopanego. Mimo to udało się ostatecznie uzyskać dobre rezultaty. W południowym jeziorku wykonano pierwsze w Polsce nurkowanie na trimixie w jaskini, ustanawiając nowy rekord głębokości na -63,1 m. Odkryto 25 m nowego, przy czym korytarz kontynuuje się

w dół. Po raz pierwszy przeprowadzono eksplorację w północnym jeziorku, odkrywając dwa nowe przodki. W jednym z nich zapewne będzie możliwość wynurzenia się na powierzchnię, drugi daje podobne perspektywy na osiągnięcie dużych głębokości jak południowe jeziorko. Odkryto tu w sumie korytarze o długości około 80 m. Przeprowadzono akcję z nurkowaniem za zalanym Wiszącym Syfonikiem. Stwarza to umożliwienie prowadzenia eksploracji również latem. Jednak warunkiem jest zaangażowanie większej liczby osób będących w stanie uczestniczyć w akcji jaskiniowej po drugiej stronie syfonu.



Syfony w Ciasnych Kominach. Jaskinia Miętusia.

Przekrój rozwinięty N-S. 21 II 1998 r.

Rys. W. Bolek i N. Ziobler (SG Wrocław).

Gdzie jesteś Śnieżna Studnia?



Fot. M. Wierzbowski

Spśród wszystkich tatrzańskich jaskiń jedna zasługuje na szczególną uwagę. Od momentu jej odkrycia prawie nieustannie kolejne pokolenia grotolazów prowadzą w niej owocną eksplorację. System Wielkiej Śnieżnej i Wielkiej Litworowej – najgłębsza i zarazem najdłuższa polska jaskinia. Początek roku 1996 przyniósł kolejne wielkie odkrycia.

Wszystko zaczęło się od załamania się trzech kolejnych akcji do Przemkowych Partii – eksplorowanych przez nas od jesieni 1994 roku nowych partii, wówczas jeszcze, systemu Wielkiej Śnieżnej. Ponieważ dojście do tych partii jest bardzo uciążliwe i czasochłonne, akcje te były zaplanowane jako wielodniowe i wieloosobowe biwaki. Jednak zarówno w pierwsze dni stycznia, jak i lutego oraz marca 1995 roku ilość śniegu w Rurze, a później przed samym otworem Śnieżnej była tak wielka, że pomimo wielogodzinnych prac odśnieżających nie udało się nam dostać do wnętrza.

Sytuacja ta zmusiła nas do zastanowienia się nad innymi możliwościami wchodzenia do systemu zimą – porą roku, kiedy znikome ilości płynącej wody umożliwiają prowadzenie bezstresowej eksploracji również w głęboko położonych Przemkowych Partiach. Pozostałe znane wejścia systemu również nie dawały zbyt wielkich nadziei. Otwór Nad Kotlinami czy Jasny Awen, podobnie jak Śnieżna, zasypywane są śniegiem.

Doszliliśmy do wniosku, że jedynym rozwiązaniem będzie znalezienie nowego otworu, najlepiej położonego nisko, łatwo dostępnego i oczywiście umożliwiającego bezpieczne zimowe wejścia. Sprawa pozornie nie wydawała się zbyt trudna. Aż cztery niezależne ciągi systemu były wcześniej

eksplorowane w górę, rokując w momencie dalszych prac mniejsze lub większe szanse na rozwiązanie naszego problemu. Były to Partie Wrocławskie, Warszawskie Kaskady, Krakowskie Kominy oraz Partie Za Kolankiem. Wybór padł na te ostatnie, między innymi z tego powodu, że były one nam dobrze znane z trzech wcześniejszych krótkich odwiedzin, a dodatkowo, na podstawie analiz przekrojów i planu tych partii w zestawieniu z powierzchnią masywu, dawały spore szanse na spełnienie naszych oczekiwań.

Następnego roku również Warszawskie Kaskady, za sprawą członków Speleoklubu Warszawskiego, zostały ponownie sprawdzone pod kątem możliwości eksploracji. Rekonesans przyniósł wynik negatywny, ale puściło w innym miejscu. Partie Amoku są już obecnie wielkim pionowym ciągiem, w którym, zdaniem odkrywców, w jednym z wysoko położonych rozgałęzień „wyczuwa się” obecność powierzchni.

Eksplorację Partii Za Kolankiem rozpoczęli nasi koledzy z Sekcji Grotolazów KW Wrocław na początku 1988 roku. Wywspinano wtedy kilka następujących po sobie kominów i dalej lekko wznoszące się ciągi zmierniejące w kierunku północnym. Skartowano 321,75 m korytarzy przy przewyższeniu 134 m. Najbardziej logiczne miejsce do prowadzenia dalszych prac zamknęło zawałisko.

Już wtedy podejrzewano możliwość połączenia Kolanka z powierzchnią poprzez którąś ze znanych, malutkich jaskiń położonych w pionowej ścianie opadającej spod Kotlin. Odległość pomiędzy wspomnianym zawałiskiem a Świstową Studnią, Schronem Pod Świstową Studnią czy Wilczym

Schronem wahała się w granicach 100 metrów w linii prostej. Praktycznie istniała również możliwość połączenia z doskonale usytuowaną Jaskinią Przy Przechodzie (otwory u podnóża ściany). Fakt ten zauważył uczestnik ówczesnych działań – Marek Siarkowski, a widząc nasze zainteresowanie Partiami Za Kolankiem podzielił się z nami swoimi spostrzeżeniami.

Jesienią 1995 roku prowadziliśmy efektywną eksplorację w Przemkowych Partiach. Cały czas mieliśmy jednak obawy, że jak zwykle początek nowego roku przyniesie wielkie opady śniegu, co mogłoby ponownie odciąć nam dostęp do jaskini. I chociaż tak się nie stało, rozpoczęliśmy prace w Kolanku. Akcja przeprowadzona w pierwszych dniach lutego w skromnym, dwuosobowym składzie (Janusz Szczepański, Rafał Mateja) przyniosła od razu wielki sukces w postaci pokonania wspomnianego zawaliska. Pięć godzin ryzykownego rozbiierania otworzyło drogę w nieznaną. Wyszliśmy na dnie wielkiego komina nazwanego Katedrą. Jego rozmiary wzbudzały w nas duży respekt, tłumiony jednak radością odczuwaną przez każdego odkrywcę. Drogę na północ zamknęły nam ściany komina; puściło w dokładnie przeciwnym kierunku. Najpierw stromą pochylnią w górę, za nią przez zawalisko i dalej poziomym szczelinowym korytarzykiem urywającym się wielką studnią. Gdybamy, że może właśnie odkryliśmy całkiem nowy, pionowy ciąg stanowiący niejako odrębną jaskinię. Od razu po wyjściu, z Zakopanego, telefonujemy do naszego kolegi. Jakież było nasze zdziwienie, gdy zostaliśmy poinformowani, że studnią tą będziemy zjeżdżać wprost do drugiej najgłębszej polskiej jaskini. Wynikać to miało z analizy planów Wielkiej Śnieżnej i Śnieżnej Studni – okolice Katedry leżą dokładnie nad głównym, poziomym ciągiem tej drugiej. I chociaż kilkanaście godzin później, po przeniesieniu danych pomiarowych z nowych partii do komputera studnia ta okazała się tylko wysoko położonym oknem w Katedrze, to pozostała nadzieja, że może tak w innym miejscu?

Już 23 lutego, wspomnieni osobą Marka Wierzbowskiego oraz wiertarką akumulatorową firmy Bosch, rozpoczęliśmy niełatwą wspinaczkę Katedrą. Po 30 metrach na idealnie mytych fragmentach ściany i w terenie przewieszonym, używając kołków rozporowych HST, zauważyliśmy wielkie okno rozpoczynające się pochylnią pokrytą luźnym gruzem. Na domiar złego również ściany pochylni były bardzo kruche, co uniemożliwiało osadzanie haków czy HST. Już pierwsze kroki wspinającego się wówczas Janusza powodowały strącanie want, którymi był bombardowany asekurujący. Musieliśmy

już wracać, więc rozwiązanie problemu trawersu do okna pozostało na następny raz.

Następna akcja odbyła się w dniach 18-19 maja. W międzyczasie odwiedziliśmy Przemkowe Partie, gdzie pokonując równie kruche kominy doskonaliliśmy swoje wspinaczkowe umiejętności. Wejście do okna w Katedrze okazało się możliwe po przeniesieniu stanowiska asekuracyjnego na 30. metr. Teraz gruz strącany przez Janusza bombardował jedynie dno komina. Kilkanaście ryzykownych metrów trawersu pochylnią i prowadzący znalazł się w bezpiecznym miejscu. Leszczyna, bo tak nazwaliśmy korytarze za oknem, puściła ok. 70 m na północ. Pokonując przewężenia zasypane gruzem oraz wspinając się niewielkimi prożkami doszliśmy do bardzo kruchości komina. Ku naszej radości w jednej z zagruzowanych od góry jego odnóg zaobserwowaliśmy spore ilości lodu, a jednocześnie wyczuwaliśmy silny przewiew. Była to dla nas jednoznaczna informacja, że otwór jest bardzo blisko. Tylko gdzie? Ponieważ za zbyt ryzykowną uznaliśmy eksplorację zawalisk w stropie, a dodatkowo chcieliśmy uniknąć późnowiosennych (bardzo mokrych) wejść do jaskini, postanowiliśmy rozwiązać problem znaną już od kilkadziesiąt lat metodą. Zakupiliśmy mianowicie używaną w ratownictwie wodnym bardzo wydajną świecę dymną. Jej czerwony dym, wypychany wraz z zimniejszym powietrzem z jaskini, pojawiając się na powierzchni, miał nas poinformować w jakim miejscu mamy szukać otworu Partii Za Kolankiem.

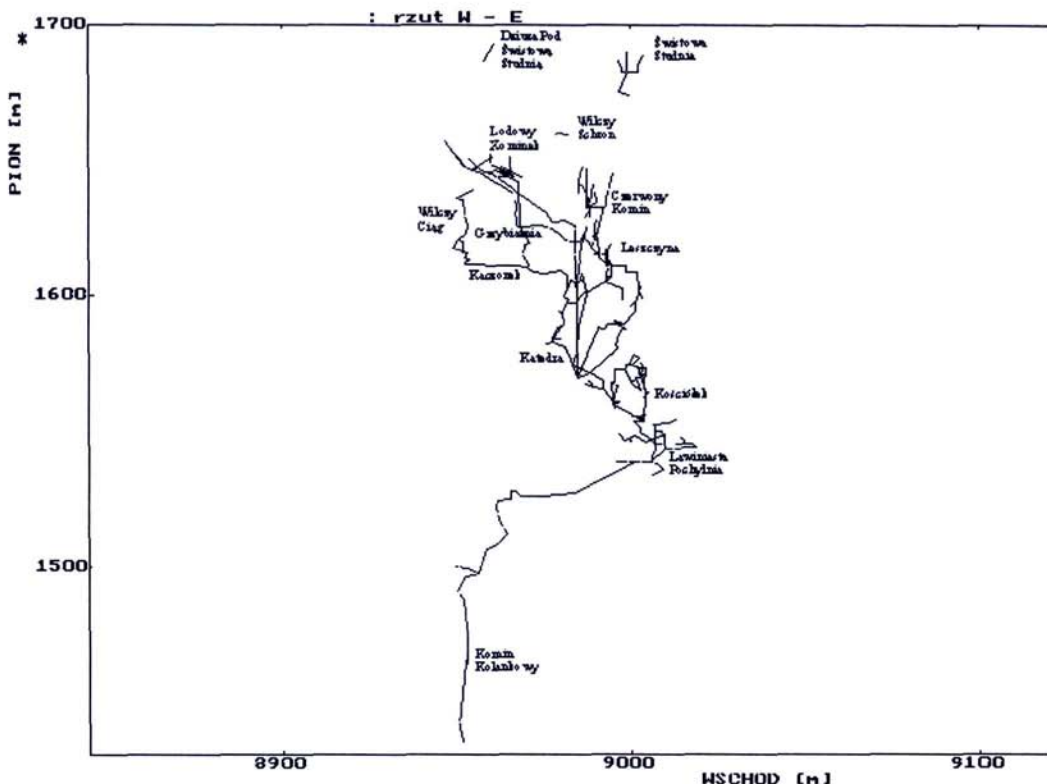
Pierwszego czerwca byliśmy ponownie pod otworem Śnieżnej. Tym razem jaskinia spletała nam figla. W ciągu dziesięciu dni oporęczowanie łązące na Łodospadzie wmarzło weń tak głęboko, że uniemożliwiło to, przy braku dodatkowej liny, wejście do jaskini. W związku z tym podjęliśmy próbę eksploracji jaskiń w interesującej nas ścianie „na ślepo”. Zaczęliśmy od Wilczego Schronu. Niestety, przewiew był tam słaby, a i z pomiarów wynikało, że przodek w Leszczynie jest już wyżej. Pomimo perspektyw nie podjęliśmy eksploracji. Dopiero następna jaskinia, Dziura Pod Świstową Studnią (najprawdopodobniej jest to ta jaskinia, ponieważ informacje na temat jej lokalizacji są sprzeczne), pasowała do naszego wyobrażenia o otworze Partii Za Kolankiem przede wszystkim ze względu na bardzo silny przewiew. Według posiadanego przez nas planu Dziura Pod Świstową Studnią miała być dwumetrowej długości szczeliną zamkniętą zawaliskiem. Jak się okazało kilkadziesiąt minut wystarczyło do usunięcia want zagradzających drogę w głąb skały. Eksploracja jednak nie trwała zbyt długo. Stromy i ciasny korytarzyk, którego dno pokrywał lód, po kilkunastu metrach zamknął drob-

ny gruz i gleba. Przewiew w tym miejscu był tak silny i tak bardzo nas wyziębiał, że chwilowo zrezygnowaliśmy z próby przedostania się głębiej. Uwierzyliśmy wszak, że to właśnie tędy przedostaniemy się do Partii Za Kolankiem. Chcieliśmy jednak być tego pewni w 100%.

Kilka dni później, 6 czerwca, w starym trzyosobowym składzie byliśmy w Niżniej Świstówce. Zapatrzeni w dodatkową linę wykuliśmy oporczożowanie wmarznięte w Lodospad. Prawie biegliśmy na przodek, by o umówionej godzinie spróbować nawiązać kontakt głosowy z Januszem czekającym w Dziurze Pod Świstową Studnią. Niestety, nic nie usłyszeliśmy. Dokładnie pół godziny później, gdy minął czas, jaki daliśmy Januszowi na zjechanie ścianą i podejście do miejsca, z którego dało się prowadzić obserwację interesującego nas fragmentu ściany, odpaliłem świecę dymną. Komin błyskawicznie wypełnił się czerwonym dymem (od tego czasu Czerwony Komin) i nawet wbrew przewiewowi zaczął przesuwac się w głąb jaskini. Po czterech minutach świeca zgasła, a cały dym został wessany w niedostępne szczeliny stropu Czerwonego Komina. Kilka godzin później słuchaliśmy relacji Janusza. W trzy minuty po umówionej godzinie,

z miejsca położonego ok. 50 m od Dziury Pod Świstową Studnią zaczął gwałtownie wydobywać się dym i przez ok. 20 minut czerwone obłoczki krążyły tam i z powrotem nad Niżnią Świstówką. Janusz, zapamiętując sobie dokładnie położenie tego miejsca, podszedł do Dziury Pod Świstową Studnią, a dalej wykonał bardzo eksponowany trawers do malutkiej półeczki, gdzie znalazł (szukany już przez nas wcześniej, lecz bezskutecznie) otwór Świstowej Studni. Identyfikację jej przeprowadził na podstawie planu. Zabarwiony na czerwono śnieg zalegający w jaskini utwierdził go w przekonaniu, że trafił dobrze. Niestety, głęboka na 15,5 m Świstowa Studnia zamknięta jest od dołu zwiężającą się szczeliną zasypaną drobnym gruzem. Uznaliśmy, że w chwili obecnej gra nie jest warta świeczki. Nakład pracy, jaki musielibyśmy włożyć w poszerzenie tej szczeliny od góry, oceniliśmy na zbyt wielki. Nasze umysły zaprzętał już nowy problem.

W momencie wejścia do Katedry zauważyliśmy, że z niewielkiego, nie znanego nam wcześniej okna na wysokości ok. 10 m spada na jej dno całkiem spory wodospad. W drodze powrotnej, po odpaleniu świecy, wykonując dalekie wahadło na linie prowadzącej do okna Leszczyny, znalazłem się



w nowym oknie. Dalej poszło już dosyć łatwo. Niewielkie zawalisko w stropie salki oraz piękna kaskadowa pochylnia wyprowadziły mnie na dno kolejnego wielkiego komina. Przy średnicy ok. 7 m po kilkunastu metrach w 2/3 zamknięty zostaje dachem, skąd na środek dna spada malutki wodospadzik. Więcej wody wypływa ze szczeliny kilka metrów nad dnem Komina Z Dachem i to miejsce obieramy za cel następnej akcji. Na poziomie dna komina krótki korytarz przechodzący w bardzo kruchą pochylnię wyprowadza nad krawędź wielkiej studni. Rzuciłem niewielki kamień, a krzyk oburzonego Marka poinformował mnie, że znalazłem się ponownie w Katedrze, około czterdziestu metrów nad jej dnem.

Następne akcje poświęcone zostały jednak kartowaniu oraz ukończeniu wspinaczki w Czerwonym Kominie. Jak przewidywaliśmy, zamknięty jest on niedostępnymi szczelinami i zawaliskami.

Dopiero 20 października, uzbrojeni w sprzęt wspinaczkowy, odwiedziliśmy ponownie Komin Z Dachem. Marek szybko uporał się z niewielkim prożkiem, co umożliwiło nam nową eksplorację, tym razem dokładnie na zachód. Ponownie odżywają nasze nadzieje na Śnieżną Studnię. Idąc cały czas „pod prąd” strumienia robimy małe wantowisko, za którym korytarz całkowicie zmienia swój charakter, stając się wąską rurą wypełnioną błotem. Po raz pierwszy w całych Partiach Za Kolankiem obserwujemy nacieki – niewielkie stalaktyty oraz polewy. Dalej rura wypełnia się do połowy wodą, co zmusza nas do bardzo trudnej zapieraczki w pozycji horyzontalnej. Alternatywą jest całkowite zmoczenie się, co na następnej akcji przytrafiło się jednemu z naszych kolegów, a samo miejsce otrzymało nazwę Kaczorek (od zwierzątki nurzącego się w wodzie jak nasz kolega). Za Kaczorkiem korytarz wznosi się lekko, a następnie zakręca pod kątem prostym na północ (po raz kolejny żegnamy się z wizją przyłączenia Śnieżnej Studni). Przedzieramy się pod nachylnym pod kątem 35-40 stopni lustrem tektonicznym rozkopując kolejne wantowiska. I wreszcie jest! Duże ilości gleby oraz odchodów jakiegoś ssaka. Dochodzimy do wniosku, że to już ostatnie metry przed Wilczym Schronem. Trzeba tylko przejść to ostatnie zawalisko. Nie udaje się, ani na tej, ani na dwóch kolejnych akcjach. Wietrzenie mrozowe spowodowało spękanie chroniącego nas dotychczas bardzo litego stropu. Dalsze robienie zawaliska uznajemy za zbyt ryzykowne. Dodatkowo pomiary wskazują, że jesteśmy już za wysoko jak na Wilczy Schron. Pozostała tylko nazwa – Wilczy Ciąg – i nadzieja, że może kiedyś uda się dotrzeć tutaj od góry. Tylko skąd?



M. Wierzbowski po wspinaczce w Kominie z Dachem

Fot. T. Sobański

Wracając z Wilczego Ciągu, jeszcze przed Kaczorkiem odkrywamy kolejny korytarz zbieżący na północ. Ściany mają kolory od bieli i szarości, poprzez czerwień do czerni i pokrywa je wszędybłski, pięknie wyrosnięty grzybek. Szczelina Grzybiarni do złudzenia przypomina nam to, co widzieliśmy w Dziurze Pod Świstową Studnią. Jednak po raz kolejny zostajemy odprawieni z kwitkiem. Po kilkudziesięciu metrach natrafiamy na przewężenie, które wydaje się praktycznie niemożliwe do sforsowania.

Dopiero pierwszy marca 1997 roku przyniósł kolejne wielkie odkrycia; w międzyczasie fotografowaliśmy, łączyliśmy znane ze znanym, bezskutecznie rozkopywaliśmy Wilczy Ciąg oraz skutecznie wspinaliśmy się Kominem Z Dachem. Właśnie wyjście ponad Komin Z Dachem stworzyło kolejną szansę na znalezienie otworu. Przedzierając się między wielkimi krystalicznymi otoczkami wyszliśmy na dnie wąskiego kominka. Jego ściany oraz zaklinowana na czwartym metrze wana były tak bardzo oblodzone, że uniemożliwiały wspinaczkę. Lodowy Komin pozostaje jak na razie jedną z wielu tajemnic nowych partii.

Już po raz trzeci zaistniała możliwość podążenia w kierunku Śnieżnej Studni. Szczelina, na której rozwinięty został Lodowy Komin, kontynuuje się na wschód i obrywa piękną, kilkunastometrową studnię. Za nią znajduje się zawalisko i kolejna olb-

rzymia studnia. Z powodu braku lin zjeżdżamy jedynie 10 m, do sporych rozmiarów półki. Kamień rzucony w dół, według naszych obliczeń, leci ok. 40 m. Lecz i tym razem radość była przedwczesna. Na następnej szychcie luftowy zjazd sprowadził nas na sam środek dna Katedry.



B. Sobieszczański wchodzi do Katedry

Fot. T. Sobański

Koniec zimy przyniósł wielkie opady śniegu i pomimo kilkakrotnych prób nie udało się nam wejść do systemu. Deszczowe lato wykorzystaliśmy na bardzo efektywne wspinanie w Przemkowych Partiach. Dopiero z nastaniem mroźnej jesieni wróciliśmy do prac nad Kolankiem. Postanowiliśmy sprawdzić dokładność posiadanych przez nas współrzędnych wspominanych już wielokrotnie trzech jaskiń, które otrzymaliśmy od R. Kardasia, a wykonanych, według informacji zaczerpniętej z „Wiercicy”, 22 X 1982 roku przez Zespół Koła Naukowego Geodetów AGH, OW PTPNoZ i AKG. Z naszych obserwacji wynikało bowiem, że zarówno relacja pomiędzy otworami Dziury Pod Świstową Studnią i Świstową Studnią, Czerwonym Kominem i dnem Świstowej Studni, jak i wysokość wszystkich trzech obiektów są nieprawdziwe.

Bardzo starannie poprowadziliśmy ciąg pomiarowy od otworu Śnieżnej, którego współrzędne

uznamy za sprawdzone i poprawne. Nasze spostrzeżenia potwierdzają się w 100%. Z minimalnym błędem pasują do siebie współrzędne poziome otworu Wilczego Schronu, Dziura Pod Świstową Studnią „wędruje” 5 m na południe, a Świstowa Studnia aż 40 (!) m na wschód i 30 (!) m na północ. Równie wielkie niezgodności występują dla wysokości tych otworów: Wilczy Schron „rośnie” o 25 m, Dziura Pod Świstową Studnią o 27 m, a Świstowa Studnia o 15 m. Jak się okazuje znane nam wcześniej współrzędne tej ostatniej absolutnie nie zgadzają się z rzeczywistością. Może przyczyną tego było pomylenie jej z innym obiektem, chociaż pomimo usilnych starań nie znaleźliśmy w tej okolicy żadnego innego otworu. Po takiej korekcie współrzędnych Wilczy Schron ponownie zaczął „pasać” do Wilczego Ciągu, a Świstowa Studnia do Czerwonego Komina.

Kolejne dwa długie biwaki w Kolanku, przed sylwestrem i w styczniu 1998 roku, w całości poświęcone zostały na kartowanie wielusetmetrych zaległości. W sumie pomierzonych zostało 1489,26 m korytarzy, a z tym czego nie udało się skończyć z pewnością będzie 1700 m. Deniwelacja w stosunku do podstawy Komina Kolankowego wzrosła do 222,5 metra.

Ostatnią (na razie) wizytę złożyliśmy w Partiach Za Kolankiem w lutym tego roku. Razem z Markiem ponownie usiłowaliśmy zrzucić kilkudziesięciokilową wantę zaklinowaną w dziwny sposób trzema różkami w przewężeniu Lodowego Komina i trzymającą nad sobą kilka ton gruzu. I tym razem się nie udało, chyba więc na następnej akcji będzie trzeba zastosować bardziej wyrafinowane techniki pokonywania tego typu przeszkód.

Nadal więc czekają na nas nowe przygody spod znaku podziemnej eksploracji – poza Lodowym Kominem musimy „sięgnąć” nie zbadanych jeszcze okien w Katedrze i przekopać gruzowisko za Kaczorkiem – ostatnie miejsce, gdzie istnieją jeszcze szanse na Śnieżną Studnię.

Na koniec chciałbym podziękować tym wszystkim, którzy się do rozbudowania Kolanka przyczynili, a w szczególności Markowi Wierzbowskiemu, uczestnikowi prawie wszystkich akcji, oraz Krzysztofowi Drobińskiemu, Wojtkowi Kraszewskiemu i Agnieszce Zaworonek, którzy załapali się, przynajmniej na razie, tylko do czarnej roboty, czyli kartowania. Pozostali to: Rafał Brzozowski, Krzysztof Furgał, Michał Gignat, Rafał Górecki, Danuta Nowak, Maciej Rudyk, Roman Ryndak, Tomasz Sobański, Bartłomiej Sobieszczański, Janusz Szczepański (wszyscy z Sekcji Grotolazów Wrocław).

DROGI Z ARCHIWUM PAMIĘCI I „TAJNEJ KANCELARII”

Przesyłam opisy kilku dróg przebytych przeze mnie przed laty. Wśród nich są też dróżki z pierwszego i drugiego mego sezonu wspinaczkowego, kiedy to jako samouk wałęsałem się z podobnymi mi osobnikami po różnych kątach Tatr. Poza opisem z zachodniej ściany Zadniego Kościelca, jak sobie przypominam wysłanym wtedy WHP (stąd zachowana kopia opisu), pozostała tylko mglista pamięć. To już ponad 30 lat, a więc „mały” jubileusz wspinania za mną. Dlatego też oceny trudności należy traktować z pewnym dystansem. Wtedy miałem przekonanie, że tak łatwo dostępne formacje musiały być schodzone przez pokolenie lat 50. Może lekceważono je w obliczu istnienia pustych miejsc na klasowych ścianach, a może jednak ktoś po nich chadzał? Dołączam też uzyskane z archiwum Grzegorza Głazka i Ryszarda W. Schramma opis i szkic innych autorów mniemając iż nie będą mieli o to żalu.

Głównym jednakże powodem sięgnięcia do mojego archiwum oraz pamięci było ukazanie się dwu pierwszych tomów przewodnika autorstwa Jana

Kielkowskiego. Dzięki tej publikacji wiele zapomnianych faktów ma okazję ujrzeć światło dzienne w druku. Liczę na to, że ta nowa inicjatywa w literaturze przewodnikowej spowoduje kolegów starszego, średniego i najmłodszego pokolenia do publikowania opisów dróg kiedyś przebytych, również niekoniernie tych najambitniejszych. Poniższy materiał to właśnie taki suplement, a może i zachęta dla innych. Pamiętajmy, że drogi nie publikowane nie istnieją. We wspomnianym przewodniku też można zauważyć zadziałanie tej zasady. Czy autor przewodnika wykorzystał wszystkie możliwości dotarcia do źródeł, to już inne zagadnienie. Niektóre z dróg skwitował z konieczności co najwyżej zdaniem: „przebieg i szczegóły nieznanne”. Lecz to my tylko możemy mu pomóc w tym przedsięwzięciu, udostępniając prywatne „tajne kancelarie”. Taką żargonową nazwą przed laty określaliśmy własne kolekcje opisów dróg tatrzańskich. Sięgnijmy zatem do nich.

Janusz Mączka

Pośrednia Turnia

– płn. ścianą

Janusz Mączka, lipiec 1967 r.

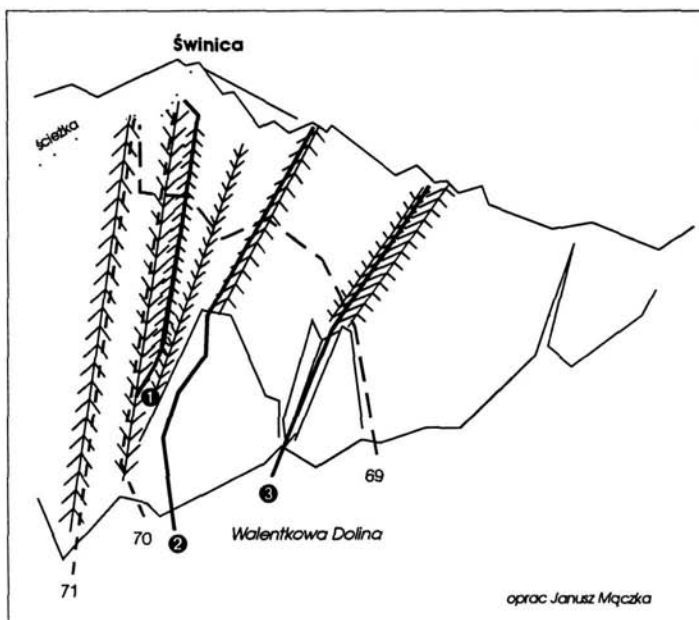
Trudności II m. III.

Na lewo od środka ściany z wyjściem na wierzchołek.

Świnica – płd.-zach. ściana

1) prawym żębem,

Janusz Mączka i Lech Wołski, 17.07.1966 r. Trudności częściowo III, 2 godz. Początek drogi z drogą prawym żębem (WHP 46, JK 70). W miejscu rozgałęzienia żębu w dwie odnogi środkowe żebro, rozdzielające je, tworzy niewybitną ściankę czołową. Jej spiętrzeniem (II, m. III) i dalej coraz łatwiejszą krawędzią żebra (miejsca I-II) do szlaku, którym na szczyt.



2) prawą grzędą na płd. grań

Janusz Mączka i tow., 10.07.1967 r. Trudności IV, 2 godz.

Dół grzędy tworzy wybitną skalną bulę. Mniej więcej środkiem ściany tworzącej bulę wchodząc w skały na prawo od dr. prawym żlebem (WHP 46, JK 70). Trudności na pierwszym wyciągu częściowo IV, dalej kilkadziesiąt metrów skałami (II-III) na szczyt buli. Dalej już łatwym terenem na grań, którą na szczyt.

3) skrajnie prawym żlebem ściany

Janusz Mączka i tow., 10.07.1967 r. Trudności III, miejsce -V, 1,5 godz.

Dół żlebu tworzy wyraźne skalne spiętrzenie o charakterze wielkiego zacięcia. Jego prawe ograniczenie tworzy wyraźna skalna ostroga wspomniana w opisie drogi Paryskiego (WHP 45, JK 69). Zacięciem do jego końca na łatwy teren górnej części żlebu, którym na południową grań przecinając po drodze drogę Paryskiego.

Świnica – płn.-wsch. ściana – prostowanie „lewego Dorawskiego”

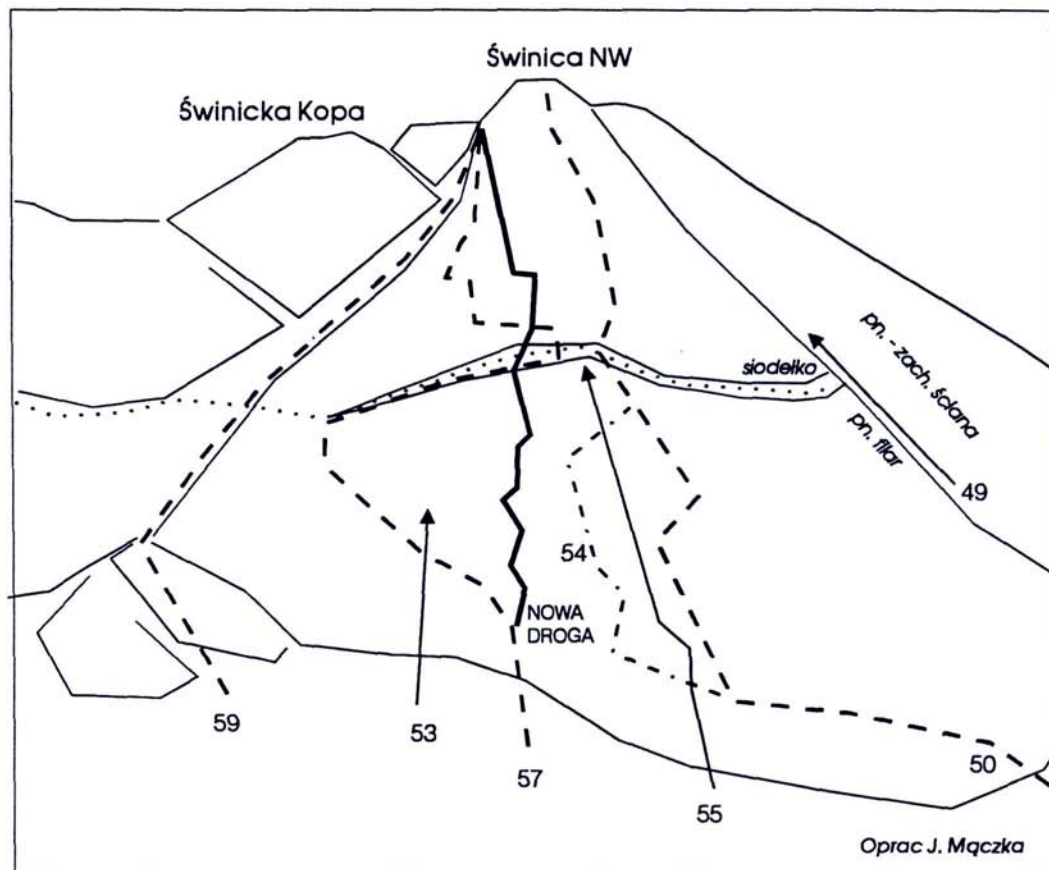
Trudności IV, 3 godz

Marcin Gierat, Janusz Mączka, Wawrzyniec

Smolak i Janusz Sadzikowski, 5.07.1995 r. Z zachodziku nad kominem wejściowym z nyzą (koniec wariantu WHP 38F) idziemy kilka wyciągów wzdłuż wyraźnej depresji utworzonej przez system płyt z pionowymi spiętrzeniami, przeciętymi w linii wejściowego kominu stromymi zacięciami i kominami. Droga prowadzi wzdłuż tych formacji omijając niektóre spiętrzenia płytami na lewo od dna depresji. Na koniec wychodzimy wąskim kominkem lub obejściem w prawo półkami i w górę od prawej na wyraźną kulminację grzędy rozdzielającej prawego i lewego Dorawskiego. Dalej zanikającą, połągą już grzędą przecinając drogę WHP 57 na taras pod białymi ściankami kopuły szczytowej. Pierwszą wąską depresją na lewo od ścianek na wierzchołek. Droga stanowi logiczne wyprostowanie drogi WHP 38. Śladów żadnych nie zastaliśmy.

Wspinaczkę tę odbyłem w ramach szkolenia wraz z trzema kursantami.

Pouczająca z uwagi na walory szkoleniowe: długość, brak śladów poprzedników, konieczność wybierania własnej drogi, a nawet fragmenty dziewiczszej kruszyny. Ciekawa propozycja na zimę.



Zadni Kościelec zach. ścianą lewym skrajem

Janusz Mączka i Lech Wolski 16.07.1966 r.

Trudności III, 1 godz.

Załączam zachowany opis przesłany WHP.

Wejście z zatoki skalnej pod „wariantem H”.

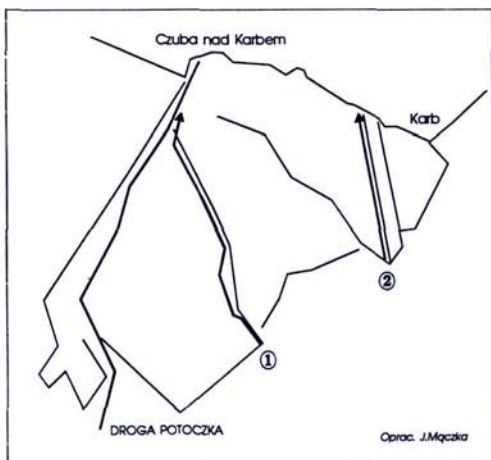
W lewo pochyłymi płytami przeciętymi gzymsem skosem w lewo, w górę. Przewijamy się za kant skalny, po czym w górę i w prawo na wspomniany kant. Dalej płytkim zacięciem na platformę leżącą nad pierwszym od lewej żlebem w tej ścianie. Z platformy przez ściankę i kilkunastometrowym zacięciem na półkę z blokiem i dalej na rozległe trawniki.

Czuba nad Karbem od wsch. „kosówkowymi żebrami” (takiej wtedy użyłem nazwy na własny użytek).

Dwie drożki od strony żlebu spadającego z Karbu do Czarnego Stawu Gąsienicowego prowadzące dość wybitnymi żebrami.

Janusz Mączka i towarzysz; lipiec 1966 r.

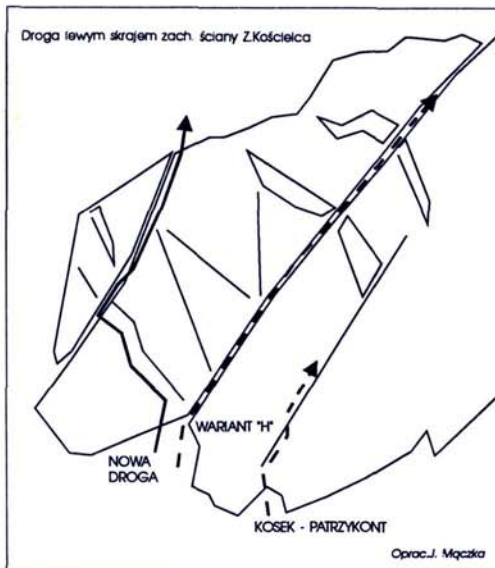
Niestety brak opisów i szkiców (usytuowanie na rysunku).



„Kosówkowe żebriska” na Czubie nad Karbem
Janusz Mączka i towarzysz lipiec 1966
Trudności droga 1) II-III, miejsce V na pierwszym wyciągu
droga 2) III m.IV

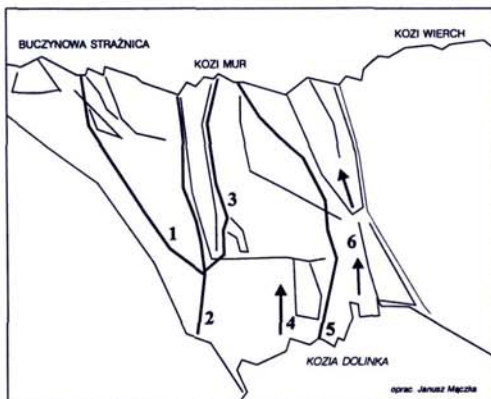
Zmarzę Czuby z Dolinki Pustej

Środkową depresję, lewym odgałęzieniem (w monografii ściany zamieszczonej w Tatarniku 1/88 str. 27-28 droga nr 7) przeszedłem w ramach szkolenia z trzema kursantami w tym z Andrzejem Pawlikiem w dniu 6.08.1970 r. Stary klincał na wyjściu ze ściany wspomniany w opisie wariantu 5A mógł też być pamiątką po nas, bo jeszcze takich używało się na łatwiejszych drogach z kursem.



Kozi Mur od pln. zach.

1. Buczynowa Strażnica od pln. wsch. – Janusz Mączka i towarzysz, lipiec 1966, trudności 0-II, miejsce III. W pierwszym miejscu gdzie kończą się pionowe ściany, od lewej ograniczające Rysę Zaruskiego, w lewo do depresji, którą na grań Buczynowej Strażnicy (pod koniec przez strome ścianki III).
2. Rysa Zaruskiego.
3. Kozi Mur żebrzem na prawo od Rysy Zaruskiego – Janusz Mączka, 15.07.1966, trudności II.
4. Kozi Mur środkiem pln.-wsch. ściany – 3 drogi, które być może pokrywają się częściowo:
 - 1) K. Jakubowski – T. Nowicki;
 - 2) W. Fiut – W. Zakrzewski;
 - 3) J. Kulczyński – W. Hubert.



5. Kozi Mur prawym skrajem płn.-wsch. ściany – Janusz Mączka, 15.07.1966, trudności III, m. IV. W prawej części ściany lewym skrajem skalnej grzędy, tworzącym miejscami załupę (II-III m. IV), po czym przez niewysokie ścianki na położe już płyty przetykane prożkami i trawkami na wierzchołek Muru (I-II pod koniec III).
6. Prawa Turnia w Kozim Murze – droga E. Chrobaka. (Kości Mur bardzo to udana nazwa odcinka grani od Buczynowej Strażnicy po Kozi Wierch proponowana przez Grzegorza Głazka).

Zadni Granat wschodnią ścianą.

W Tatarniku 2/88 str. 84 oraz w przewodniku „Granaty” A. Skłodowskiego i M. Wołoszańskiego opisana jest droga depresją na prawo od Filara Biela przebyta 29.07.1988 r. przez R. Lewasińskiego i K. Zdzitowieckiego. W podobny sposób przeszedłem tę ścianę z Jarosławem Ropkiem 5.10.1986 r., a więc dwa lata wcześniej. Dół ściany pokonaliśmy chyba identycznie (?) (trudności IV-V), wyżej kierując się ku krawędzi oddzielającej od Depresji Sawickiego (IV-III). Nad zachodem kontynuowaliśmy naszą drogę płytową ścianą (V) ok. 15-20 m na prawo od wariantu A. Pietscha na filarze S. Biela.

Nie sporządziłem szkicu w ścianie. Odtwarzany teraz mógłby być niewiarygodny. Daję więc wkreślenie w znakomite zdjęcie G. Głazka. Nie robiłem nigdy schematów „technicznych” po latach, co najwyżej wkreślenia w schematyczny rysunek ściany lub dobre zdjęcie z dołączonym ogólnym opisem słownym.

- 1) Droga – S. Biel i Z. Jaworowski
- 2) Droga – Janusz Mączka i Jarosław Ropek
- 3) Droga – Dobroslawa Miodowicz (-Wolf), Maria Pauly (Fedorowicz), Konstanty Bałuciński i Janusz Mączka
- 4) Droga – Z. Abgarowicz i R. W. Schramm

Masyw Żabiego Szczytu Niżniego – Grań Siedmiu Diabłów.

Opisaną przez Andrzeja Skłodowskiego w „Góry i Alpinizm” nr 9 (21)/95 s. 21 Grań Siedmiu Diabłów przechodziłem ściśle granią 4.08.1967 roku. Moimi partnerami byli: moja siostra Anna Arvey i Zbigniew Kaliniewicz. Tego dnia łączyliśmy rekreacyjnie od różnych stron po masywie Ż. Sz. N. i przy okazji zrobiliśmy te „niepoważne” turniczki. Nie zastaliśmy wtedy żadnych śladów poprzedników.

Zawratowa Turnia – prawą częścią wschodniej ściany – dot. drogi nr 127 w przewodniku J. Kiełkowskiego.

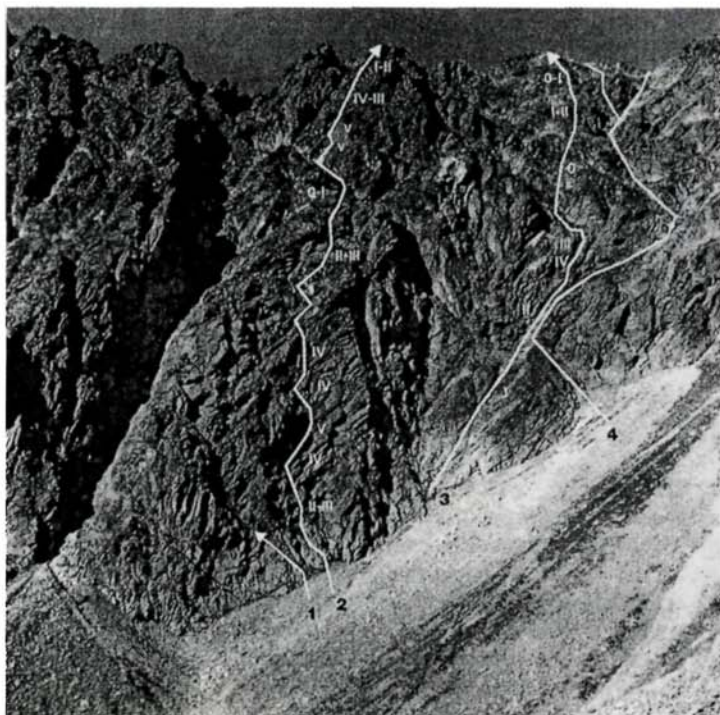
1) dr. Strumiłły

Bronisław Siadek i Tadeusz Strumiłło, 18.06.1952 r.

Trudności V, A1. Czas 1 wejścia 6 godzin.

Droga przebiega wyraźną rysą widoczną dobrze mniej więcej od połowy wysokości ścieżki prowadzącej od Zmarzłego Stawu na Zawrat. Rysa ta biegnie skośnie w lewo w kierunku wierzchołka.

Wejście u jej podstawy – trawiasto-skałistym terenem ok. 60 m (miejscami II). Dalej rysa poprzez dwa nieco przewieszzone zacięcia (IV). Stąd trawers dwa metry w lewo i w górę dnem nawieszonych zacięcia (V) początkowo klasycznie, dalej A1.



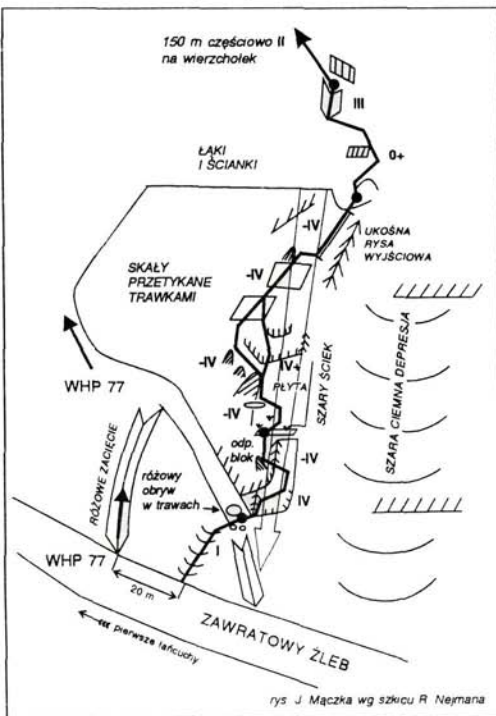
Z zacięcia wychodzimy przez zamykającą je przewieszkę (pod nią mało widoczny hak) prawą przewieszoną ścianką i w dalszym ciągu parę metrów w górę do bardzo wyraźnej nyży. Lewą ścianką nyży do kominkowatej w tym miejscu rysy i nią 30 m (IV) na charakterystyczne skalno-trawiaste stopnie. Z nich: Albo (próba): Przedłużenie rysy przecina na wielki dach przewieszki tworząc w swej dolnej części wypychający kominek. Kominkiem aż pod pozornie ruchomy blok – z lewej stary hak.

Albo: Ze stopni w górę i 2 m w prawo przy pomocy pęknięcia (hak) aż pod przewieszkę, przez którą wprost w górę (hak) – cały czas V A1 i dalej parę metrów aż na siodło z potrząskanych bloków. Z siodła wprost w górę płytowymi skałami z odchyleniem w lewo (III) i powrotem do rysy, tworzącej wyraźne płytowe zacięcie. Nim w górę (III) i w dalszym ciągu zanikającą rysą, przechodzącą pod koniec w wyraźny trawiasty zachód, którym aż ponad rynnę skalną opisaną w drodze 77 WHP i dalej wprost na wierzchołek. (opis z archiwum R.W. Schramma).

2) droga tzw. Mysi Ściek

Trudności IV, 1-2 godz.

Dorota Basińska, Barbara Jaworska, Robert Nejman, Joanna Piatos, 20.09.1987 r. (w przewodniku J. Kiełkowski podaje mylnie datę 16.09).



Zawratowa Turnia – prawą częścią wsch. ściany, tzw. Mysi Ściek

Ładna droga, w litej skale. (rys. z archiwum G. Gładka).

Prawdopodobnie obie drogi stanowią niezależne rozwiązania ściany.

W Tatarniku 1/94 został opublikowany mój list do K. Łozińskiego z uwagami do jego przewodnika. W składzie tekstu nastąpiły drobne pomyłki, które chciałbym sprostować.

1) W opisie przejścia komina lewej depresji ptn.-wsch. ściany Miękuszwowieckiego Szczytu Pośredniego zniknął koniec pierwszego zdania i początek drugiego zmieniając całkowicie ich sens. Powinny brzmieć następująco:

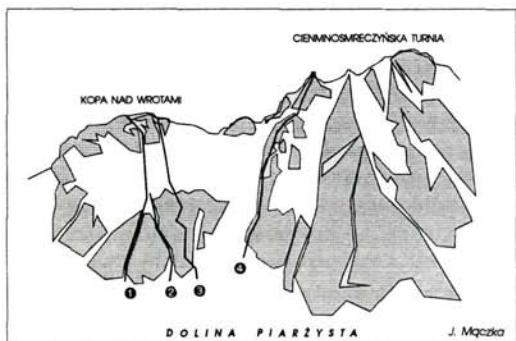
„Wraz z Andrzejem Neczajem podjąłem próbę przejścia nowej drogi wybitnym kominem ograniczającym lewy filar od prawej strony i dalej na lewo od „Lewego Dziadka”. **Udało nam się przejść komin do Zachodu Świerza**, po czym zjechaliśmy w dół tą samą drogą...”

Bez braku fragmentu (podkreślonego) wynika, że chcieliśmy kontynuować nową drogę na lewo od drogi Świerza, co jak wiadomo jest bez większego sensu, gdyż teren jest tam łatwy i nowej drogi przy najlepszych chęciach tam nie wciśnie. Jedyną logiczną kontynuacją miał być styk lewej depresji i lewego filara (dokładnie jak sugeruje K. Łoziński). Całość stanowiłaby trudne, logiczne rozwiązanie.

2) W uwadze do I zimowego przejścia Lewego Komina na Kopie Nad Wrotami chodzi oczywiście o wzmiankę w Tatarniczku nr 15 (maj 1969), a nie w Tatarniku.

Kopa nad Wrotami i Ciemnosmreczyńska T.

Z Doliny Piarzystej cztery drogi.



Drogi o przebiegu jak na szkicu.

- 1) Trudności III-IV, Janusz Mączka i tow., lipiec 1967.
- 2) Trudności II, Janusz Mączka, lipiec 1967 r.
- 3) Trudności III, Janusz Mączka, lipiec 1967 r.
- 4) Trudności II-III, Janusz Mączka i tow., lipiec 1967 r.

Pod górę czy może już w dół?

Autor wraz z Billem na szczycie Mt. Whitney



Pamiętacie czasy, gdy jedynymi butami były kory, a słowacka lina szczytem techniki? I gdy w skałach jeszcze wszystkich znało się, przynajmniej z widzenia? Tak, czasy się zmieniły, sport – nie sport stał się popularny, na topie... Jednak dalej jesteśmy grupą ludzi, którzy lubią walczyć, walczyć głównie z sobą, własnymi słabościami. A nie na chodniku, w bramie czy po dyskotecę, gdzie agresja często podnosi się już powyżej pierwszego piętra. Dalej pełni podniecenia możemy walczyć o swoje małe i wielkie cele. I nieważne, że często się z nas śmieją, że my śmiejemy się z innych – ważne jest samo starcie z marzeniami – przecież każdemu JEGO EVEREST!

Siedzimy dzisiaj w 20 osób, gdzieś na południe od Paryża, bawiąc się tu w nasze wspinaczkowe życie. Fajno było obserwować jak wczoraj wszyscy po pracy, zostawiają wszystko za sobą, wyskakują ze swoich garniturów, pakują sprzęt, wciągają wytarte koszulki... i już za kilka godzin siedzimy tu, wśród skał. I tak naprawdę nie wiem dlaczego się wspinam, nie wiem skąd przyszedłem i dokąd zmierzam. Lecz gdy czuję tę więź w pocie i krwi, gdziekolwiek bym był: czy gdzieś na *big wallu*, czy na 3-metrowym bloku w Fontainebleau, to choćby po to jest już warto żyć.

Jak już pewno wiecie, udało mi się w tym roku pojechać za wielką wodę, zobaczyć kilka miejsc, zrobić kilka dróg... Pamiętam dobrze jeden dzień, 8 lipca, moje 25 urodziny (czy może 26 – cholera nigdy nie pamiętam), jedziemy z Billem kalifornijską

pustynią. Na prawo Dolina Śmierci, za nią poligony atomowe Nevady, po lewej góry Sierra Nevada i dominujący tam najwyższy szczyt dolnych Stanów (nie licząc Alaski) Mt. Whitney – 4418 m n.p.m., a dalej kraina wielkich ścian i rys: Yosemite. A droga rozciąga się wprost w rozgrzaną pustynię, rozmazując nam obrazy, roztapiając nas niczym wosk.

Z tym Billem to taka historia – planując podróż, potrzebowałem kogoś na wspinaczkę w Kalifornii, no i ni rusz, ani nikt nie jedzie z Polski, ani żaden ze znajomych w Stanach nie może. Ale od czego są komputery? No więc znalazłem w Internecie USA, tam listę wspinaczkową, tam Kalifornię, tam tych co mają wozy, a wtedy wybrałem tych, co mają czas wtedy kiedy ja i jeszcze wspinają się w podobnych trudnościach i szukają partnera, itd., itd... – no i miałem kilkanaście nazwisk na liście, Bill był drugi.

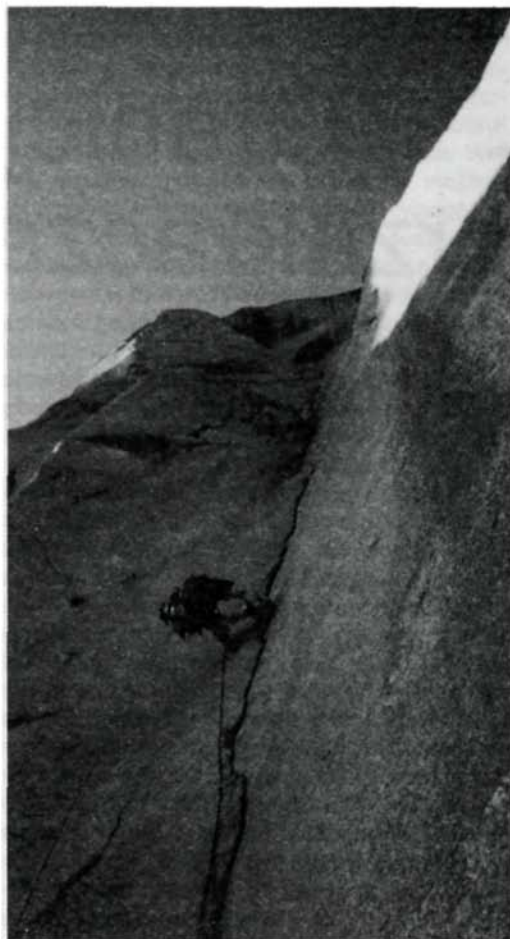
No więc posuwamy z Billem pustynią wzdłuż wodociągu – 700 km rur nawadniających Los Angeles i miliony zamieszkujących tam ludzi, ku Owen's River Gorge. Rzeka, która dziś umiera, wysuszana przez ten rurociąg, wycięła 100-metrowy kanion w miękkim bazalcie. Brązowe ściany błyszczą w słońcu rzędami spitów, magnezja zna czy każdy chwyt. Uff! W końcu po tygodniach wspinania w rysach, plastrowania dłoni, i po tym jak praktycznie przyjaciele stały się częścią mojej upręży, w końcu jedynie komplet ekspresów, krawadka w górę, odciąg z prawej, tam podchwyt, już, już prawie mam, tam klama na obie ręce, wpinka, balans... Tak leci droga za drogą, posuwamy się

wzdłuż kanionu, jak słońce spycha cień w zapomnienie, łapiemy resztki chłodu to tu, to tam. Jest nas tu więcej, kilkanaście zespołów, uciekających przed śmiercią z nieba.

Po dziesięciu drogach błyska myśl – a może by tak te 25. urodziny zakończyć 25 drogami?! Chyba umrę, jak nie spróbuję! No, niestety kończy się na 18. drodze, załatwiłem sobie kostkę, niby małe uderzenie, a jest wielkości jabłka. Ciężko wychodzi się z kanionu, na szczęście wóz tuż na krawędzi – a tu nieźle: zostawiliśmy na przedniej półce zegarek, taki czarny, plastikowy budzik, no i masz babo placek – nadtopił się. Walimy do szpitala, po głowie chodzą czarne myśli. Lecz co tam, przynajmniej próbowałem, a przecież każdy się chyba zgodzi, że 18 to o wiele piękniejsza liczba niż 25, szczególnie jeżeli chodzi o wiek!

Wychodząc ze szpitala – te pałki chciały mnie wsadzić w kule! – ale jak to się mówi: „życie nie jest łatwe, trzeba się... namęczyć”, walimy do knajpy na porządnego steka i o dziwo doskonałe piwo z miejscowego browaru. Noga na szczęście nie jest złamana, więc wszystko OK. Tylko coś tam podpuszczali, że nie będę mógł chodzić przez 2 tygodnie, ale to oczywiście śmiech. Nazajutrz można było zdjąć usztywnienia, a za dwa dni wsiekaliśmy Mt. Whitneya (z 400 metrów wspinania i dobrze ponad 20 km marszu), a zaraz potem siedziałem już na El Capie.

Kończę moje czerwone wino, Francuzi powoli rozchodzą się spać, jutro czeka nas cały dzień wspinania, a skała, kurde, jak w Podlesicach – czuję się tu prawie jak w domu. Przede mną następne plany, cele, nie spełnione marzenia, które śnię nie w nocy, a w dzień, na jawie, pragnąc ich, jakiegolwiek by były, całym sercem, całą duszą...



El Capitan – The Nose. Wyciąg tuż nad Wielkim Okapem. Cudowne 6.1, 700 metrów nad ziemią. Prowadzi K. Belczyński.

Czas przejścia: 7-10 maja (pełne 4 dni wspinania i 3 dni spania w ścianie w portaledge'u non stop: w sensie bez schodzenia ze ściany (tak jak miało miejsce podczas pierwszego przejścia), transportowaliśmy w drodze 70 kg: 40 kg sprzętu wspinaczkowo-biwakowego, 30 kg zapasów (głównie woda). Holowanie w 100-metrowym okapie było skomplikowane technicznie, jako że nie można puszczać luzem wora, bo pod nim jezioro... Nie słyszeliśmy jeszcze o przejściu w takim stylu, wygląda na takie pierwsze – choć podobno Francuzi robili szybkie jednodniowe przejścia, czyli też bez schodzenia ze ściany, tyle że na lekko. A tam cała zabawa zaczyna się podczas transportu. Jest to drugie polskie przejście drogi „Liberte”!

Przejście chcieliśmy zadedykować Maćkowi Rysuli.

Granicy ryzyka przekraczać nie wolno

Po przegranej wyprawie (ze sportowego punktu widzenia) dotarli do mnie głosy, że takie wielkie ekspedycje to niepotrzebne marnowanie pieniędzy.

Andrzej Zawada: Wszystko jest względne. Biorąc pod uwagę wyniki osiągane przez naszych zawodników, np. na zimowej olimpiadzie, należało by w ogóle wycofać się z dawania pieniędzy na sport, ale czy rzeczywiście można mówić o wyrzuceniu pieniędzy w błoto? Przez cały czas wyprawy w bazie wisiała polska flaga. Byliśmy reprezentantami całego kraju. Nasze zmagania fascynowały nie tylko najbliższych. Wiemy, że za pośrednictwem między innymi Internetu (w którym „Rzeczpospolita” umieszczała także bieżące zdjęcia z wyprawy) śledzili je alpinisci w różnych państwach. Relacjonowała je pakistańska prasa, także angielskojęzyczna. Nawet w samolocie British Airways, w drodze powrotnej, znalazłem artykuł o wyprawie. W Pakistanie uważają, że właśnie Polacy są najlepiej przygotowani na tak trudną wyprawę jak zimowe wejście na Nanga Parbat. To, że dysponowaliśmy telefonem satelitarnym oraz komputerem do przesyłania korespondencji i zdjęć, było dla nas nowym wspaniałym doświadczeniem. Dzięki nim po raz pierwszy mogliśmy mieć w pewnym sensie bezpośrednią widownię. Przecież już nazywając w kraju ukazywały się szczegółowe sprawozdania i zdjęcia z tego, co się działo na wyprawie. Byliśmy wreszcie razem z rodakami. To też się liczy i to dla obu stron. Jak ważne były te środki łączności, pokazał wypadek Ryska Pawłowskiego, któremu kamień z lawiny strzaskął nogę. Nie wyobrażam sobie, jak tę akcję ratunkową można by przeprowadzić bez dobrej łączności: radiotelefonów, radiostacji i telefonu satelitarnego.

Zdobywanie nikomu niepotrzebnych szczytów jest zajęciem nieco abstrakcyjnym. Tymczasem tam, w Pakistanie, nabierało się głębokiego przeświadczenia, iż jest to również ogromnie pożyteczna pasja.

Doskonale rozumiem o czym mówisz. Najwięcej

pieniędzy wydaliśmy na karawanę do góry i z powrotem. Trafiły one w ręce naprawdę biednych ludzi, którzy walczą o byt w bardzo trudnych warunkach górskiej przyrody. Pomogliśmy tym, którzy tej pomocy potrzebowali, a jednocześnie ciężko na nią zapracowali. Poza tym zawsze zdobywa się nowe doświadczenie. Część uczestników otrzymała zimą w Himalajach pierwsze ostre szlify wspinaczkowe. Tu też o zmarnowaniu pieniędzy nie może być mowy. Jeżeli zaś porówna się kwoty złożone na zawodników w innych dziedzinach sportu, to suma przez nas wydana jest stosunkowo niewielka: 7,5 tys. USD na osobę przez dwa i pół miesiąca, wliczając w to opłaty: za pozwolenie na zdobywanie góry, na używanie łączności radiowej, ekologiczną, celną, za przeloty, przejazdy, hotele, na wynagrodzenie dla miejscowych pracowników w bazie, żywność oraz karawanę. Chciałem przypomnieć, że sprzęt wspinaczkowy i w dużej mierze osobisty dostarczyli uczestnicy oraz sponsorzy. W wyprawie wzięło udział 12 osób. Po przeliczeniu wszystkiego na dolary koszt całej wyprawy wyniósł 91.606 USD. Nikt z nas nie dostaje żadnego wynagrodzenia, samochodu, mieszkania...

Ale też nie było sukcesu sportowego...

Nawet jak były, nic się nie dostawało. W końcu ile razy wygrywa się mecze piłkarskie? Piłka zaś toczy się dalej. Alpinizm to też sport, choć nas się nie kupuje ani się nami nie handluje. Może zresztą dlatego trudniej o pieniądze dla alpinizmu, bo nie przysparza on dochodów. Wspinacz do swej pasji musi jeszcze dużo dopłacić. Nie zawsze wyprawa kończy się sukcesem. Nie można jednak na siłę narażać ludzi. Niemcy zorganizowali sześć wypraw, zanim w lecie po raz pierwszy zdobyli Nanga Parbat. Anglicy zrobili ich dziewięć, nim weszli na Mt. Everest. Ważne są: wytrwałość, pewna ciągłość i wyciąganie wniosków z porażki.

Jakie wnioski wysnułeś tym razem?

Moim zdaniem do sukcesu brakowało tylko pogody, a więc... szczęścia. Alpinizmu nie uprawia się w zamkniętej hali ani na boisku. Jest ogromnie

uzależniony od natury. Naszego meczu nie możemy przerwać i przenieść na następny dzień. Trafiliśmy na pogodę, jakiej nie notowano w tej części Pakistanu od dziesiątków lat. Są granice ryzyka, których w górach nie można przekroczyć. Mróz i huraganowe wichury są zjawiskami normalnymi zimą w Himalajach. Wobec tak wielkich opadów śniegu musieliśmy jednak skapitulować. Wczoraj rozmawiałem telefonicznie z Islamabadem. Dowiedziałem się, że w górach ciągle jeszcze sypie śnieg. Tamtejsze gazety doniosły, że takich opadów nie było od 22 lat.

Mieszkańcy doliny Diamir, z którymi rozmawialiśmy, w ogóle nie przypominali sobie podobnej zimy. To był kataklizm. Do tego doszło jeszcze trzęsienie ziemi. Przecież w tym samym czasie w dolinie Rupal, po drugiej stronie Nanga Parbat, lawina zasypała wioskę. Zginęło ponad dwadzieścia osób. Trafiliśmy akurat na tak trudne warunki zimowe.

Stale nasuwają się porównania z poprzednią zimową wyprawą na Nanga Parbat.

Właśnie. Tamtej zimy panowała piękna pogoda. W bazie długo nie było w ogóle śniegu. Obóz I został założony niejako z marszu, na drugi dzień po zbudowaniu bazy. W tym roku torowanie do niego drogi w głębokim śniegu zajęło prawie dwa tygodnie. Miałem nawet kłopoty z namówieniem tragarzy, żeby w takich warunkach donieśli ekwipunek wyprawy do miejsca zeszlórocznej bazy. Trudno zresztą dziwić się ludziom, którzy idą po pas w śniegu w łapciach z nie wyprawionej koziej skóry. Natomiast ubiegłej zimy wielki problem stanowiły choroby alpinistów. Po prostu zabrakło ludzi do wspinania. Dlatego starałem się o pieniądze na zespół 15-osobowy. Niestety, otrzymanie, dosłownie w ostatniej chwili, mniejszej kwoty zmusiło Polski Związek Alpinizmu do ograniczenia liczby zawodników. Zrezygnowanie z wyjazdu oznaczałoby utratę wpłaconych wiosną 10 tys. dolarów za zezwolenie na zdobywanie góry, które jest wystawiane na konkretny rok, więc nie można go przesuwac. Jak widać, pieniądze zawsze są kluczową sprawą, one też decydują o składzie ekspedycji.

Jak to możliwe? Sam powiedziałeś, że alpinistów się nie kupuje.

Tak, ale wielu świetnych wspinaczy nie stać na paromiesięczny wyjazd na wyprawę. Trzeba mieć pieniądze choćby na zwrot utraconych zarobków. Alpinści mają problemy z utrzymaniem w tym czasie rodziny. Niektórzy zrezygnowali w ostatniej chwili, kiedy okazało się, że nie mamy funduszy na utrzymanie ich najbliższych. Niestety, Urząd Kultury Fizycznej, Sportu i Turystyki nie przewiduje w budżecie wyprawy takiej pozycji.

Tymczasem w PRL-u alpinizm rozkwitał.

Nie tęsknię do tych czasów, ale trzeba przyznać, że regularne dotacje umożliwiały systematyczne wysyłanie ludzi, którzy mieli dobre osiągnięcia w Tatrach, na obozy w Alpy, a potem w Hindukusz. To był najtańszy sposób sprawdzenia każdego na wysokości. Wielka szkoda, że z powodu wojny w Afganistanie straciliśmy taką możliwość. Ostatni etap stanowiły Himalaje. Taka była kolejność. Poza corocznymi funduszami dla klubów wysokogórskich co dwa lata Polski Związek Alpinizmu dostawał pieniądze na wielką centralną wyprawę. Po zmianie ustroju wszystko się zawaliło. Dotacje na kluby przepadły. Pierwsze pieniądze na dużą ekspedycję PZA otrzymał ubiegłej zimy.

Czy mówiąc o konieczności zachowania ciągłości w himalaizmie, miałeś na myśli to, że Himalajów trzeba się uczyć, że bez owego chrztu bojowego, jaki każdy wspinacz musi przejść, nie sposób ocenić tu na dole ani nawet w Alpach, ile będzie wart powyżej siedmiu tysięcy metrów?

Spoglądając wstecz, można ocenić, że ciągłość oznacza tradycję – długą i dobrą polskiego himalaizmu, począwszy od okresu przedwojennego. Patrząc w przyszłość, przekonujemy się, iż tych czternaście ośmiotysięcznych szczytów nie będzie na nas wiecznie czekać zimą, tylko że będą następne wyprawy, jeśli nie nasze, to alpinistów zagranicznych. Na razie z ogólnego bilansu wynika, że mamy duże osiągnięcia. Siedem pierwszych zimowych wejść na ośmiotysięczniki należy do Polaków.

Ale zdobywało je w latach osiemdziesiątych pokolenie, które w tej samej dekadzie zginęło w górach.

W przypadku zimowego himalaizmu to nieprawda. Leszek Cichy wszedł na Mt Everest, Krzysztof Wielicki na Everest, Kanczendzongę i Lhotse, Maciej Berbeka na Manaslu, Cho-Oyu i niższy wierzchołek Broad Peak, Ryszard Gajewski na Manaslu, Maciej Pawlikowski na Cho-Oyo, Artur Hajzer na Annapuryne. Nie żyje trzech zimowych zdobywców ośmiotysięczników: Jerzy Kukuczka (Dhaulagiri, Cho Oyu, Kanczendzonga, Annapurna), Andrzej Czok (Dhaulagiri, zmarł podczas zimowej wyprawy na Kanczendzongę) i Zygmunt Andrzej Heinrich (Cho Oyu).

Reszta bohaterów jest zmęczona?

Oslabienie naszej działalności w najwyższych górach spowodowały nie tragiczne wypadki, lecz przede wszystkim zmiana ustroju. W nowej rzeczywistości ludzie musieli się zająć zabezpieczeniem codziennego życia. Wielu otworzyło własne interesy. Uważam, że ten kryzys polskiego alpinizmu powoli mamy już za sobą. Zaczynają się pojawiać

nowe twarze, a i doświadczeni wspinacze pomalu wracają w góry.

Czy zimowy himalaizm nie jest sztucznym wymysłem skrojonym nieco na siłę? Czy Polacy odnoszą sukcesy dlatego, że nie istnieje obca konkurencja?

Wszystkie najważniejsze letnie drogi zostały powtórzone zimą zarówno w Tatrach, Alpach, jak i w Kaukazie. Tak przebiega naturalny rozwój tego sportu. Nowe wyzwanie musiało dotknąć i Himalajów. Nie tylko my zmierziliśmy się z zimowym wspinaniem w najwyższych górach. Jest to bardzo trudne i wiele kosztuje. Japończycy byli po nas na Evereście dwukrotnie. Za pierwszym razem dwóch alpinistów, z których jeden stanął na szczycie, zaginęło w drodze powrotnej. Druga japońska wyprawa zimowa wróciła szczęśliwie z sukcesem. Tak więc do tej pory na wierzchołku Everestu zimą stanęło pięć osób. W ubiegłym roku tylko w sezonie wiosennym na Everest weszło 88 osób. Letnie wchodzenie na ośmiotysięczniki zakrawa już na wykwalifikowaną turystykę i trudno tu mówić o jakimkolwiek sportowym sukcesie. Reinhold Messner próbował zmierzyć się zimą na Cho Oyu. Nie dał rady. Z kolei Anglicy starali się zdobyć Everest zachodnią granią i też nie dali rady. Belgowie bezskutecznie walczyli zimą o najwyższą górę świata. Nie wiadomo, ile było zimowych prób w Himalajach czy Karakorum, ponieważ jak się nie wejdzie na szczyt, to się na ten temat nie pisze. Jedynym źródłem informacji mogą być dowody opłat za pozwolenie na próby zimowego zdobywania gór, leżące w odpowiednich ministerstwach Nepalu, Pakistanu czy Chin.

Pod Nanga Parbat stawały dwie lub trzy zachodnie wyprawy: japońska, angielska i prawdopodobnie francuska. Angielska rozegrała się ubiegłej zimy prawie że na naszych oczach. Mój przyjaciel Victor Saunders wymyślił sobie, że potrafi wejść w dwuosobowym składzie stylem alpejskim, bez obłężenia, obozów, całego tego mozołu. Stanął z partnerem pod lodowym kuluarem i... na tym zakończył wyprawę. Sam mi potem przyznał, że się wygłupił.

Na zawodach wspinaczki sportowej przewijają się tłumy młodych ludzi. A ty miałeś kłopoty ze skompletowaniem składu swojej drużyny na wyprawę na Nanga Parbat.

Jeszcze raz powtarzam, że było to spowodowane głównie brakiem pieniędzy. Taniej i łatwiej jest polecieć do Stanów Zjednoczonych i powspinać się po Yosemitech, niż pojechać w Himalaje na zimową wyprawę, która wymaga dużej ilości drogiego

sprzętu. Na tę ekspedycję każdy uczestnik musiał zabrać własne buty, haki, raki, czekany, kombinezony, sprzęt puchowy. Sam bazowy śpiwór puchowy przeznaczony do temperatury -45°C kosztuje ok. 1200 zł. To są olbrzymie sumy.

Widziałam pod Nanga Parbat, jak dla tych sum alpinieści ryzykowali życie, aby znieść swój sprzęt z obozu I mimo ogromnego zagrożenia lawinowego. Cudem uniknęli śmierci podczas trzęsienia ziemi, jakie ich spotkało.

No właśnie. Czy więc dlatego, że alpinieści otrzymali wreszcie dotację oraz dofinansowanie od sponsorów, to wzięli na siebie takie zobowiązania, że na siłę powinni iść ku szczytowi? Uważam, że nie oszczędzaliśmy się. Zrobiliśmy wszystko, co można było. Jednak tej granicy ryzyka przekraczać nie wolno.

Co wobec tego proponujesz dalej?



Wyprawę minimum 15-osobową, do której można będzie się odpowiednio wcześniej i spokojnie przygotować, tak jak inni sportowcy do olimpiady. Żeby można było wybrać ludzi, którzy z góry będą wiedzieli, że wyprawa na pewno jedzie, a nie jak ostatnio, kiedy takiej pewności nabrali na tydzień przed zarezerwowanym odlotem samolotu. Żeby zgromadzone fundusze zabezpieczyły w czasie trwania ekspedycji byt rodzinom uczestników. Inaczej nie zdobędzie się najlepszych zawodników. Wtedy też jest inny nastrój przygotowań. Może też nadszedł czas na inne bodźce. Jak bardzo usprawniają zdobywanie sukcesów w skokach wzwyż, bieganiu i marszach mieszkania, samochody i inne apanaże. Taki doping stał się normą w wielu dyscyplinach sportu. Dlatego ma być grzechem w alpinizmie?

Sam uważam, że choć nazwa Nanga Parbat jest ograna i niektórzy już nie chcą o niej słyszeć, to Polacy powinni się zmobilizować i absolutnie zimą zrobić znowu wyprawę na tę górę, tak jak latem robili to Niemcy czy Anglicy na Everest. Droga jest poznana, trudności także. Potrzebna jest tylko pogoda i większy zespół, żeby rozłożyć ogromny wysiłek. Łatwe sukcesy nie cieszą. Porażki jednak nie należy demonizować.

Do zdobycia zimą zostały jeszcze: Shisha Pangma w Tybecie, Makalu w Nepalu i wszystkie ośmiotysięczniki Pakistanu: Nanga Parbat, dwa Gasherbrumy, Broad Peak i K2 – drugi szczyt Ziemi, a zarazem największy problem światowego zimowego alpinizmu, już chyba nie do rozwiązania w obecnym stuleciu.

Rozmawiała:

Monika Rogozińska



Koleżanki i Koledzy!
PZA Was nie zawiedzie,
I choć śniegi jeszcze leżą,
Znów otworzy letni sezon!
Acz prezesa nic nie zmusza,
Od pierwszego lipca rusza
Aż do wrześniowych rykowisk
Trójca sławnych obozowisk:

TATRZAŃSKIE W NAMIOCIE LATO – CO WY NA TO?

PP. Prawdziwi Alpinści (z turystów tylko naturyści)

- OBOZOWISKO SZALAŚSKA:

świat daleko, ściany z bliska!

PP. Taternikostwo z Dziećmi od lat sześciu (zmieści się i teściu)


- OBOZOWISKO RABANISKA:

jeśli Swinica dla Was nie za niska!

Górkse Łaziki, Grotołazy niech skorzystają z bazy

- POLANA ROGOZNICZAŃSKA:



idylliczna, lecz tatrzańska!



Czy na wyczyn, czy wakacje, przyjmujemy rezerwacje!



Niezawodne informacje:

Polski Związek Alpinizmu
Warszawa, ul. Ciołka 17
tel. (0-22) 36 36 90



Namiocek czy ściana – cena umiarkowana!

*Za skromną opłatą szykujemy na lato:
W kuchni gaz – to raz;
Chatki-szmatki w dyskretne łatki;
Materace pod zadek (na wszelki wypadek);
Mydélka i proszki (dla Was, czyścioszki);
Wyborowa atmosfera (jeśli kto nie przebiera);
I uroki klimata (miejmy nadzieję – lato)!*



NIE MA PANACEUM NA STOPY

„Stopa atlety”, grzybica, krwiaki pod paznokciowe, wszelkie pęcherze, malutkie czy ogromne, co jeszcze może spowodować kontakt paznokcia z butem?

W miarę rozwoju sportu buty przybierają kształt coraz bardziej wyszukany, doświadczenie uczy jednak, że jest to bolesne dla naszych stóp. Tworzywa i technologie przyszłościowe, pochwalne peany reklamy, wygląd jak z filmu science fiction, nie zawsze myśli się o stopie i oceniając nasze obuwie męczennicze – narciarskie, turystyczne czy wspinaczkowe – chciałbym mówić raczej o sztuce obcierania¹.

Buty nie przestają znęcać się nad nami, wielki palec marznie lub się przegrzewa, namaka i poci się, nasza skóra ustawicznie domaga się swych praw. W *Alpinisme Randonnee* nr 190 grałem już rolę ponuraka rysując los palców ciemionych w butach różnych typów, a lista firm obuwniczych była raczej wyczerpująca. Zapowiedziałem wówczas następny artykuł, który nazwie po imieniu niesprawiedliwie zapoznane problemy naszych palców.

Krwiak pod paznokciowy

Człowiek nie jest drapieżnikiem i można nawet wątpić, czy nasze 20 paznokci ma jakiegokolwiek żywotne zastosowanie prócz praktyk masochistycznych. Paznokcie chronią oczywiście palce, przekazują doznania, paznokcie stóp wspomagają odbiór bodźców zewnętrznych i wewnętrznych podczas marszu. Ewolucja stopy ludzkiej zdaje się posuwać w kierunku zaniku piątego palca (małego), tu najczęściej wyrastają nam nagniotki. Częste podczas schodzenia objawianie trzech pierwszych palców stopy lub miażdżenie ich w trzewikach wspinaczkowych może doprowadzić do całkowitego oddzielenia się paznokcia od skóry. Uraz, początkowo bezbolesny, przechodzi w krwiaka macierzy, który boleśnie uciska cały paznokieć. Marsz, nawet w miękkich pantoflach, staje się torturą. W tej

sytuacji należy pomyśleć o najbliższym podologu, który dokona zbawczego czynu: przekłuje paznokieć usuwając krwiak i przynosząc natychmiastową ulgę w cierpieniu. Kąpiel palucha w odpowiednim płynie zapewni mu zdrowie aż do następnego razu. Ci, którzy poważą się zlekceważyć ból, zostaną ukarani: kulejąc osiągną tylko stan bólu nie ustającego (także w nocy), krwiak zakrzepnie nieodwracalnie i, mimo spóźnionej wizyty u lekarza i łykania antybiotyków, doprowadzi do sytuacji godnej pożalowania zakończonej utratą paznokcia. Na jego miejscu nieśpiesznie powstanie zawiązek, a potem bezużyteczny kikut nowego. Silne uszkodzenie macierzy może spowodować zaburzenia tego procesu połączone z klasycznym zwyrodnieniem grzybicznym (*onychomycose*) i wymagające przewlekłego leczenia z niepewnym skutkiem.

Jeśli wycieczka przedłuży się lub jeśli do podologa jest daleko, należy pozbyć się krwiaka metodą chałupniczą przekłuwając paznokieć rozgrzaną igłą (zabieg jak u kowala, trochę długi i spektakularny, choć bezbolesny). Przynosi za to natychmiastową ulgę.

Grzybice

Powodują je mikroskopijne grzyby. Częste u diabetyków, mogą zaatakować każdego, kto choć w niewielkim stopniu ocierał się o czynnik „telurowy” (basen, natryski publiczne, szatnia) lub brał antybiotyki, kto wreszcie pocił się nadmiernie w górskich buciarach, skorupach plastikowych czy tzw. butach „ratunkowych”.

Zaczyna się od żółtawej otoczki wokół paznokcia, który jednocześnie odchodzi od skóry. Po kilku latach zaniedbywania twardnieje, zwyrodnienie jego macierzy staje się nieodwracalne, a boczne złogi skórne zaczynają brzydko pachnieć. W zależności od typu mykozy może nastąpić infekcyjne wrośnięcie paznokcia (w odróżnieniu od wrastania związanego z urazem, już zbadanego, *Medicalp* nr 180), co wiąże się z owrzodzeniem pod paznokciowym spontanicznym lub nadbólowym wymagającym natychmiastowego leczenia; może też skoń-

czyć się na zwykłym bezbolesnym złażeniu paznokcia, spokojnym, niepostrzeżonym, powolnym. Ten ostatni proces również doprowadza do stwardnienia, nieodwracalnego i bolesnego, zwanego nie wiadomo dlaczego „paznokciem starca”.

Istnieją trzy możliwe sposoby leczenia tej dolegliwości. Wszystkie wymagają długotrwałej kuracji (9 miesięcy), a ze środków farmakologicznych *Loceryl* jest lepszy niż pozostałe (*Mycoster* i *Amycar*): stosuje się go raz na tydzień, a nie codziennie. Ostatni środek to najtańszy i najbardziej radykalny *Amycar* (powoduje usunięcie paznokcia chemicznie). *Loceryl* działa najskuteczniej, w najszerszym zakresie.

Stopa atlety

Mimo swej nazwy dotknąć może każdego sportowca użytkownika butów nie przepuszczających potu. Chodzi tu o grzybicę umiejscowioną między palcami, powodującą swędzenie, męczące pieczenie, spękanie faldów międzypalcowych połączone z maceracją, powstawanie białawych cuchnących złogów. Powstaje prawdziwie bolesna, nie gojąca

się rana, grożąc nadkażeniem. Jeśli schorzenia nie leczyć, rana osiąga nieobliczalne rozmiary, rozszerza się przez dotyk na sąsiednie palce.

Owa dolegliwość lubi wilgoć i ciemność, należy więc wietrzyć stopy, a przede wszystkim dokładnie wycierać skórę między palcami po każdej kąpieli. Dobra rada: nigdy nie zakładać skarpetki na mokrą stopę. Uwaga na efekty gąbki i maceracji związane ze złym „oddychaniem” materiału, z którego zrobiono but.

Ideałem byłoby (zarówno w górach, jak i w domu) unikać zbyt częstego i długotrwałego moczenia stóp; używać mydła o pH neutralnym; wycieranie ciała zaczynać od stóp (gdy ręcznik jest jeszcze suchy). Co trzy tygodnie, dwukrotnie w ciągu dnia należy profilaktycznie potraktować skarpety i buty pudrem antygrzybicznym, by je oczyścić. Wybierać zawsze obuwie z materiału „oddychającego” – go-retexu, nie stanowi to jednak panaceum.

¹ Nieprzetłumaczalna gra słów: science fiction i science-friction.

Z Alpinisme Randonnee Nr. 195 tłumaczyła
Magdalena Kapetuf

SZKOŁA WSPINACZKOWA

Jacek Patrzykont, Rafał Kardaś
instruktorzy PZA

Szkolenia:

- ☞ na sztucznej ścianie
- ☞ skałkowe
- ☞ tatrzańskie na kartę taternika

Szkoła zapewnia
sprzęt wspinaczkowy

Adres korespondencyjny:

02-786 Warszawa, ul. Zamiany 5/117
tel./fax 641-85-77
oraz 659-82-60 (wieczorem)

W związku ze zbliżającym się końcem kadencji władz Polskiego Związku Alpinizmu, Zarząd PZA

ogłasza
konkurs na stanowisko
redaktora Taternika

Oferty wraz ze szczegółowym planem redagowania czasopisma należy składać w biurze PZA do końca września 1998 r.

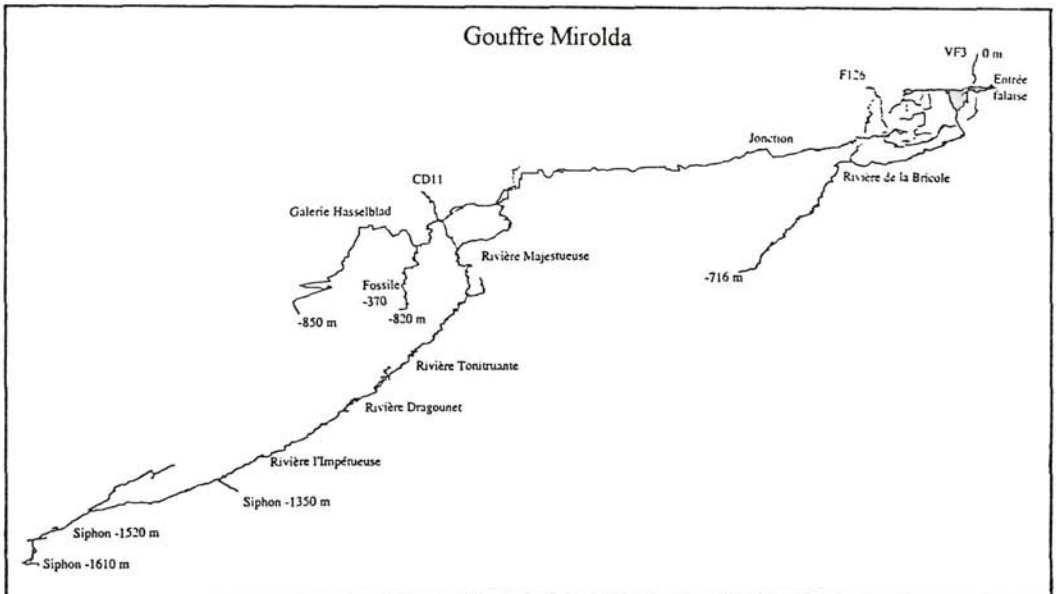
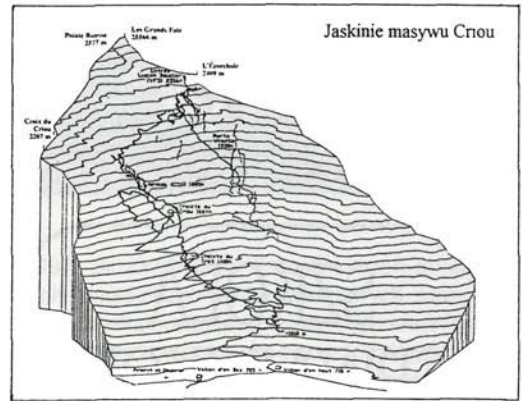


Jaskinie i speleologia

Zmiana światowej rekordzistki

„Spelunca” 69 z kwietnia 1998 r. prezentuje obszerny i obficie ilustrowany materiał poświęcony uzyskaniu w Gouffre Mirola (Alpy Sabaudzkie, masyw Criou, Samöens) rekordowej głębokości w styczniu 1998 r.). Osiągnięto ją poniżej kończącego dotychczas jaskinię syfonu -1520 m, docierając do kolejnego na -1610 m.

r.



Najgłębsze na świecie

Cytowany wcześniej numer „Spelunca” zamieszcza też aktualny ranking jaskiń poznanych do głębokości co najmniej -1000 m.

Obejmuje on już 61 pozycji. Otwiera listę oczywiście Mirolda, a zamyka chwilowo grecka Gorgot-hakas (-1000 m) wyeksplorowana na Krecie. -1300 m przekraczają:

1. Gouffre Mirolda (Franja) -1610 m
2. Résean Jean-Bernard (Francja) -1602 m
3. Lamprechtsofen (Austria) -1532 m (-1521, +11)
4. Pantjuchina (Gruzja) -1508 m
5. Sistema Huautla (Meksyk) -1475 m
6. Sistema del Trave (Hiszpania) -1441 m
7. Boj Bułok (Uzbekistan) -1415 m (-1158, +257)
8. Sima de las Puertas de Illamina – BU 56 (Hiszpania) -1408 m
9. Torca del Cerro (Hiszpania) -1400 m
10. Lukina Jama (Chorwacja) -1393 m

11. Sistema Cheve (Meksyk) -1386 m
 12. Evren Gunay düdeni (Turcja) -1377 m
 13. Snieżnaja – Mieżennogo (Gruzja) -1370 m
 14. Cehi 2 „la Vendetta” (Słowenia) -1370 m
 15. Réseau de la Pierre Sait-Martin (Francja - Hiszpania) -1342 m
 16. Sieben Hengste (Szwajcaria) -1340 m
- Skład elitarniej listy najgłębszych jaskiń świata urozmaicił się w ostatnich latach, co potwierdza podejrzenie, iż dotychczasowe ich rozmieszczenie jest bardziej funkcją stanu wyeksplorowania poszczególnych regionów, niż faktycznych możliwości osiągnięcia rekordowych głębokości w poszczególnych krajach. I tak najwięcej pozycji reprezentuje Hiszpanię – 12 jaskiń, 10 – Austrię, po 7 – Francję i Meksyk, 6 – Włochy, po 4 – Gruzję i Słowację, po 2 – Chorwację, Szwajcarię i Turcję. Po jednej jaskini mają na liście: Algieria, Grecja, Nowa Gwinea, USA (Hawaje) i Uzbekistan.

r.

Wieści z gór wysokich

Gorące lato w Karakorum

Takiego lata jak w 1997 w Karakorum jeszcze nie było. Trzy tygodnie „blachy” to rekord nie do pobicia w tym rejonie górskim. W tym czasie wszyscy, którzy mieli zdrowe nogi i ręce, wchodzili na szczyty, gdzie się dało i jak się dało, a w szczególności w rejonie Broad Peak, Gasherbrum I i Gasherbrum II. No, nie tak do końca. Niektórzy kręcili się tylko pomiędzy tymi górami nie mogąc się zdecydować którą zaatakować jako pierwszą. Taki brak zdecydowania zawsze kończy się frustracją, bo przeważnie okazja znika jak sen złoty. W tym roku wypraw było dużo, ludzi jeszcze więcej, a wypadków jak na lekarstwo. Czyżby tak się podniósł poziom wspinania w Karakorum. Hm, specjalnie w to nie wierzę. Ale wróćmy do liczb.

Według raportu Ministerstwa Turystyki Pakistanu w zeszłym roku pozwolenia otrzymało 57 wypraw z 16 krajów. W wyprawach udział wzięło około 500 alpinistów. Najbardziej oblegane były oczywiście ośmiotysięczniki K2, Broad Peak, Gasherbrum I i II oraz Nanga Parbat. Popatrzmy na prostą statystykę.

- | | | |
|-------------------|-----------|----------------|
| 1. K2 – | 4 wyprawy | 37 uczestników |
| 2. Broad Peak – | 5 wypraw | 62 uczestników |
| 3. Gasherbrum I – | 8 wypraw | 57 uczestników |

- | | | |
|--------------------|-----------|----------------|
| 4. Gasherbrum II – | 9 wypraw | 66 uczestników |
| 5. Nanga Parbat – | 10 wypraw | 52 uczestników |

W konkurencji narodowej wygrali jak zwykle Japończycy przed Koreą (nie muszę dodawać jaką) a Polacy zajęli zaszczytne 7. miejsce. Znacznie lepiej niż na olimpiadzie. Pakistan skasował za ten sezon 531 200 dolarów i dodatkowo 24 560 dolarów za 1100 trekkersów w tym rejonie. Ponadto ukarał 10 wypraw za śmiecenie karą łączną 1000 dolarów. Fantastyczny wynik. Średnio około 2 dolarów na jednego alpinistę. Też bym pośmiał się za dwa dolary. Inne góry sześć- i siedmiotysięczne nawiedzane były rzadziej, więc statystyk nie ma.

Nowa droga Osetyńców na Evereście – poważne wątpliwości

Pod koniec sezonu 1997 na północnej flance Mt Everestu pojawiła się nowa droga autorstwa osetyńskiej wyprawy (Osetia – kawałek Kaukazu) pod kierownictwem Walerego Kuzina. Biegnie ona lewą częścią północnej ściany. W parę miesięcy później Russell Brice, znany nowozelandzki przewodnik i organizator wypraw, zgłosił na łamach „High Magazine” poważne, jego zdaniem, wątpliwości co do prawdziwości „zeznań” Osetyńców. Otóż Brice

zauważył ślady na śniegu tylko do podstawy ostrogi północnej ściany. Wyżej nikt z osób znajdujących się w bazie wysuniętej lub na Przełęczy Północnej nie widział śladów działalności Osetyńców. Osetyńcy utrzymywali, że podciągnęli linię obozów do wysokości 8200 m. Faktem jest, że dwóch członków tej wyprawy weszło na wierzchołek Mt Everestu. Pytanie, tylko którą drogą. Russell Brice utrzymuje, że drogą normalną od Przełęczy Północnej.

Rosjanie nadchodzą... i odchodzą

Rok 1997 nie był dobry dla rosyjskiego alpinizmu. Na Makalu zginął Władimir Baszkirow, świetny alpinista i wspaniały kompan górski. Na Annapurnie Anatolij Bukriew. Na Evereście od północnej strony zaginęli Mikołaj Szewczenko, Iwan Płotnikow i Aleksander Toroszin. Zwycięska rosyjska wyprawa na zachodnią ścianę Makalu zostawiła tam Salawata Chabibulina i Igora Bugaczewskiego.

W sumie z Himalajów i Karakorum nie powróciło do domu 25 alpinistów rosyjskich. A oto lista rankingowa zdobywców ośmiotysięczników z Rosji i Wspólnoty Niepodległych Państw.

7 ośmiotysięczników – Sergiej Bogomołow
5 ośmiotysięczników – Władimir Korotajew
4 ośmiotysięczniki – Jewgienij Winogradski
Walery Perszin
Mikołaj Czernyj
3 ośmiotysięczniki – Sergiej Arsentiew
Władimir Bielabierdin
Sergiej Jefimow
Mikołaj Zacharow
Borys Sedusow
Jurij Uteszew

Są osiągnięcia, jest cena. Świat wartości w górach wysokich jest prosty i przejrzysty dla każdego. Ale jest to absolut piękna i estetycznych doznań. Nie chcesz, nie jedziesz. Nie jedziesz, nie widzisz. Nie widzisz, nie przeżywasz. Wybór należy do Ciebie.

Piotr Pustelnik

WIOSNA W SOKOLIKACH

Zapowiadane zmiany na obozowisku „Pod Krzywą” w Sokolikach już nastąpiły. Obozowisko jest administrowane przez Sudecki Klub Wysokogórski z siedzibą w Jeleniej Górze od 2 listopada 1997 roku. W styczniu tego roku ruszyły pierwsze prace remontowe. Bywalcy wiedzą, że stan „taboru” był zły. Doprowadzenie go do przyzwoitości wymagało wiele wysiłku i pieniędzy.

Inicjatorem i duszą zmian jest Sławomir Ejsymont, wiceprezes SKW, prywatnie właściciel dużego przedsiębiorstwa, który wziął na siebie odpowiedzialność finansową za obozowisko. Fizycznie, prace remontowe wykonywały głównie dwie osoby: Jarosław Ejsymont i Piotr Lesiów – kierownik obiektu. Wiele osób deklarowało pomoc. Do pracy zgłosiło się mniej. Najaktywniejsi byli członkowie SKW: Piotr Galla, Maciek Pętlicki, bracia Ćwiekowie,



Od lewej: Piotr Lesiów i Sławomir Ejsymont

Darek Łyga. Pomagał też prezes SKW Andrzej Chruściel z grupą przyjaciół. Do prac specjalistycznych zatrudniono oczywiście fachowców. Co zrobiono? Są nowe podesty, stoliki z ławeczkami, doprowadzono wodę, wybudowano umywalnię (ciepły prysznic) i ubikacje. W obu domkach zainstalowano gaz i światło 12 W. Został wyremontowany parking, naprawiono też częściowo drogi dojazdowe.

I obozowisko funkcjonuje. Rezerwacje są już na cały sezon, ale miejsc nie zabraknie. „Tabor” jest otwarty dla wszystkich, nie tylko członków klubów wysokogórskich. Ceny noclegów we własnych namiotach to 4 złote od osoby za dobę. Nocleg w domkach kosztuje 6 złotych za dobę. Ciepły prysznic jest płatny dodatkowo.

Na początku sezonu, w dniach 29.05 – 31.05. 1998 r. odbyła się w Sokolikach impreza integracyjna dla wspinaczy Polski i Czech. Mieli być i Niemcy, ale nie dojechali. Tłoku nie było, za to dopisała pogoda, a całe spotkanie miało znakomitą atmosferę, o co zadbali gospodarze. Zorganizowano zawody wspinaczkowe. Poza członkami SKW pracowali przy nich ludzie z Wrocławskiego Klubu Sportów Górskich. Zapewniono też współpracę funduszu PHARE. Wspinano się na Małym Sokoliku na tzw. Nitówce. Najlepsi byli: Jarosław Liwacz, Marek Jaromiński, Darek Łygas i Ivoš Rousek. Zwycięzcy otrzymali od Zarządu SKW beczkę piwa.

Andrzej Kłos

Sejmik prezesów

Poprzednie spotkanie prezesów klubów zrzeszonych w PZA odbyło się przed pięciu laty. Przed jesiennym Walnym Zjazdem Zarząd postanowił wrócić do dobrego zwyczaju zwoływania sejmików. 23 maja do Warszawy przyjechali przedstawiciele 22 klubów powierzchniowych (na 32 istniejące). Reprezentowane było też 6 klubów speleologicznych (na 22 zarejestrowane).

Prezes Leszek Cichy wręczył dwie swoje nagrody za osiągnięcia roku poprzedniego. Barbarze Batko za działalność w górach wysokich i Erykowi Marqueritte za debiut w górach wysokich. Wręczył też nagrody prezesa Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki, ministra Jacka Dębskiego. Otrzymali je: Ryszard Pawłowski, Adam Potoczek, Jan Muskat i Janusz Gołąb za pierwsze polskie wejście na Centralną Turnię Paine drogą M. Piola w górach Patagonii, a Zbigniew Król, Michał Szymański, Mariusz Jeziorski i Janusz Gołąb za pierwsze polskie letnie przejście drogi Martina Morana na tzw. Sunrise Pilier na szczycie Kedarnath Done (6831 m) w Himalajach Garwalu. Są to osiągnięcia roku ubiegłego.

Dyskusje rozpoczęły się od omówienia roli klubów w środowisku. Nie jest ona tak znacząca jak dawniej i coraz mniejszy jest wpływ na to co robią wspinacze zrzeszeni i nie zrzeszeni. Tych ostatnich jest sporo i nie bardzo wiadomo jak ich traktować. Wiąże się to ze zdobywaniem karty taternika, której uzyskanie jest dla wielu poważnym problemem finansowym. Swoje argumenty przedstawiali przeciwnicy i zwolennicy tego dokumentu. Wielu nie

chciało przyjąć do wiadomości, że sławnej karty nie wymyślił PZA, ale Tatrzański Park Narodowy, na którego terenie działamy. Przedstawiciele krakowskiego KS Korona zwrócili uwagę, że wśród nich, na około 200 osób, tylko niecała 1/3 legitymuje się kartą taternika. Wiąże się to z ilością delegatów na Walny Zjazd. Przedstawiciele KS Korona uważają, że skoro płacą składki, powinni mieć dwóch delegatów, a nie jednego. Mowa była też o nowych przepisach dotyczących sportów ryzykownych, jakie są przygotowywane w ministerstwach, i co z tego wynika dla Związku. Omawiano sprawy szkolenia, zwracając uwagę, że dzięki jego wyższej jakości, w ostatnich latach wyraźnie mniej jest wypadków w Tatrach. Dobrze wyrażano się o klubach, które prowadzą szkolenie podstawowe. Cechuje je zwykle solidna praca instruktorów, a kursanci są zintegrowani ze środowiskiem. Mówiono o „Taterniku”. Padły różnicowane opinie. Mówił prezes, aby przekształcić go w rocznik nie znalazł aprobaty. Może natomiast uda się stworzyć jeden etat redakcyjny.

Adam Potoczek, szef komisji sportowej, od podstaw wyjaśniał zasady tworzenia kalendarza imprez. Zadziwiająco, że wśród prezesów tak wielu było mało zorientowanych. Poruszano też sprawę ubezpieczeń. Jest to konieczność i wiele klubów ubezpiecza swoich członków. Jednak ogólne ubezpieczenie NW dla wszystkich zrzeszonych wspinaczy byłoby pożądane. Niestety, na przeszkodzie stoi brak pieniędzy.

Dyskusje trwały 4,5 godziny. Nie zawsze były łatwe. Ich temperatura świadczy o tym, że są jeszcze ludzie, którym na sprawach wspinania, taternictwa czy alpinizmu zależy.

Andrzej Kłos

Pożegnania

● W wieku 75 lat zmarł w Austrii Fritz Morawec. Był świetnym międzywojennym alpinistą i kierownikiem wielu wypraw w góry wysokie. Kierował między innymi wyprawą, która w 1956 roku dokonała pierwszego wejścia na Gasherbrum II w Karakorum.

● W wieku 73 lat zmarł we Włoszech znany alpinista Bepe de Francesch. Znany był głównie ze swojej działalności w Dolomitach. Brał udział w wyprawach himalajskich, między innymi na K2.

● Na północnej grani Mt Everestu zginął niemiecki alpinista polskiego pochodzenia Peter Kowalzik. Rodzina Petera pochodziła z Mazur. Jego ojciec do tej pory mówi trochę po polsku. Peter był przez wiele lat zawodowym przewodnikiem pracującym dla agencji IMC z Niemiec. Ostatnio zajął się

pracą zgodną z jego wykształceniem tj. buchalterią. ● W tragicznym wypadku helikopterowym zginął w Słowenii jeden z najlepszych narciarzy wysokościowych Luka Karnicar. Brał udział w wielu wyprawach w Himalaje, Karakorum i w Pamir. Zjechał na nartach z Piku Komunizma.

● W połowie maja tego roku zginęła tragicznie w lawinie na wschodniej grani Dhaulagiri najlepsza alpinistka wysokościowa Francji Chantal Maudit. Namiot, w którym spała wraz z towarzyszącym jej Szerpą, zniósła lawina. Ciało znaleziono 600 m niżej na stoku. Chantal była równie świetną co kontrowersyjną alpinistką. Weszła między innymi na K2, Manaslu, Shisha Pangma, Gasherbrum II. Płci odmiennej pozostanie już tylko wzdychać do niej.

Szkolenie

Stałe punkty asekuracyjne

3. Powołany przez Komisję Szkolenia PZA zespół ds. spitowania w składzie: Andrzej Ciszewski, Piotr Drobot i Bogumił Siama przedstawił wytyczne w sprawie technologii osadzania stałych punktów asekuracyjnych. W przypadku wyposażania dróg na stałe ustala się następujące standardy:

A. W skałach wapiennych

– we wszystkich punktach osadzanych techniką wierceń tj. na stanowiskach asekuracyjnych, stanowiskach zjazdowych, stanowiskach do „wędkii” oraz przelotach mogą być instalowane **wyłącz-**

nie atestowane nierdzewne ringi mocowane na odpowiedni klej

- zalecaną długość części kotwiącej ringa określa się na **20 cm dla stanowisk i 15 cm dla punktów przelotowych**
- stanowiska zjazdowe, stanowiska do „wędkii” oraz pośrednie stanowiska asekuracyjne mają tworzyć **2 ringi połączone trwale łańcuchem wyposażonym w ogniwo centralne (PZA rekomenduje włoską firmę Raumer oraz gotowe zestawy o nazwie handlowej Superstar nr. katalogowe 179 lub 182)**

- na punkty przelotowe PZA rekomenduje ringi *Collinox francuskiej firmy Petzl*
- stare stanowiska z jednego ringa powinny zostać wzmocnione pojedynczym ringiem o parametrach porównywalnych z ringiem *Batinox firmy Petzl* i połączone wspólnie łańcuchem za pośrednictwem atestowanych ogniwi typu *Maillon Rapide* o wytrzymałości porównywalnej z wytrzymałością łańcucha
- **uwaga:** przedłużaniem firmowych ringów do zalecanej długości 15–20 cm będzie parat się wykonawca wskazany przez PZA,

B. W skałach granitowych

- na stanowiskach asekuracyjnych, stanowiskach zjazdowych oraz stanowiskach do „wędk” mogą

- być instalowane wyłącznie atestowane nierdzewne ringi mocowane na odpowiedni klej
- stanowiska zjazdowe oraz stanowiska do „wędk” mają tworzyć 2 ringi połączone trwale łańcuchem wyposażonym w ogniwo centralne (*PZA rekomenduje włoską firmę Raumer oraz gotowe zestawy o nazwie handlowej Superstar nr. katalogowe 179 lub 182*)
- stanowiska asekuracyjne mają tworzyć 2 ringi o parametrach porównywalnych z ringami *Collinox firmy Petzl*
- zalecaną długość części kotwiącej ringów stanowiskowych, ringów zjazdowych oraz ringów do „wędk” określa się na co najmniej 7 cm
- na punkty przelotowe zaleca się nierdzewne spity typu *Long life firmy Petzl*.

Przed kursem skałkowym

Komisja Szkolenia PZA zaleca, aby osoby przyjmowane na kursy wspinaczkowe podpisywały przed przystąpieniem do praktycznej części szkolenia dokument następującej treści:

„Ja, niżej podpisany/a
niniejszym oświadczam, że zostałem/am poinformowany/a, że uprawianie wspinaczki stwarza ryzyko utraty zdrowia lub życia nawet w przypadku respektowania wszystkich zasad bezpieczeństwa. Świadom/a powagi sytuacji zobowiązuję się przestrzegać wszelkich poleceń instruktora w zakresie spraw związanych z przebiegiem zajęć praktycznych. Brak subordynacji może stanowić podstawę do usunięcia mnie z kursu. Zobowiązuję się ubezpieczyć od następstw nieszczęśliwych wypadków na cały okres szkolenia, co jest warunkiem przystąpienia do praktycznej części kursu wspinaczkowego”.

data podpis kursanta

numer PESEL

W przypadku szkolenie osób niepełnoletnich zaleca się, aby jeden z rodziców lub prawny opiekun w obecności instruktora podpisywał dokument następującej treści:

„Ja niżej podpisany/a
oświadczam niniejszym, że zostałem/am poinformowany/a, że uprawianie wspinaczki stwarza ryzyko utraty zdrowia lub życia nawet w przypadku respektowania wszystkich zasad bezpieczeństwa. Świadom/a takiego stanu rzeczy wyrażam zgodę na uczestnictwo mojej/mojego imię i nazwisko
data urodzenia na uczestnictwo w kursie wspinaczkowym w skałkach/górach w okresie od do

Oświadczam ponadto, że zobowiązuję się ubezpieczyć wyżej wymienioną osobę od następstw nieszczęśliwych wypadków na cały czas trwania szkolenia, co jest warunkiem przystąpienia do praktycznej części kursu”.

podpis rodzica/opiekuna

numer PESEL

data

podpis instruktora

W związku ze zbliżającym się sezonem letnim Komisja Szkolenia PZA przypomina wytyczne w sprawie programu i prowadzenia letniego kursu taternickiego. Mamy nadzieję, że przedstawione informacje przydadzą się nie tylko instruktorom, ale także (a może nawet przede wszystkim) kursantom, którzy powinni wiedzieć, czego wymagać od swoich nauczycieli.

WYTYCZNE DLA LETNICH KURSÓW TATERNICKICH

Celem letniego kursu taternickiego jest przygotowanie kursantów do samodzielnego i bezpiecznego uprawiania wspinaczki w górach pozbawionych pokrywy śnieżnej.

– Letnie szkolenie taternickie mogą prowadzić instruktorzy taternictwa i instruktorzy alpinizmu posiadający aktualną licencję Polskiego Związku Alpinizmu.

Szkolenie mogą prowadzić również instruktorzy i starsi instruktorzy taternictwa jaskiniowego, jeżeli ukończyli odpowiedni staż.

– Dokumentem stwierdzającym kwalifikacje instruktora jest Książeczka Instruktorska.

– Każdy instruktor musi posiadać ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej.

– Warunkiem przyjęcia na letni kurs taternicki jest ukończenie kursu wstępnego w skałkach zgodnego z programem PZA. Dokumentem potwierdzającym ukończenie kursu z wynikiem pozytywnym jest zaświadczenie podpisane przez licencjonowanego instruktora PZA.

– Każdy kursant musi posiadać zezwolenie lekarskie oraz ubezpieczenie od następstw nieszczęśliwych wypadków. Osoby niepełnoletnie muszą posiadać zezwolenie podpisane przez rodziców lub prawnych opiekunów.

– Kurs powinien trwać co najmniej 14 dni, z których przynajmniej 10 dni ma być poświęconych na zajęcia w terenie.

– Połowa zajęć terenowych może odbywać się w innym masywie górskim niż Tatry, pod warunkiem wcześniejszego zaakceptowania tego rejonu przez Komisję Szkolenia PZA.

– Program kursu składa się z trzech części: 1) wykładów, 2) zajęć praktycznych i 3) wspinaczek, zgodnie z załączonym wykazem.

– Dla osób pragnących posiadać kartę taternika kurs kończy się egzaminem składanym przed komisją autoryzowaną przez Polski Związek Alpinizmu.

– Osoba przystępująca do egzaminu musi posiadać świadectwo ukończenia kursu podpisane przez instruktora wraz z wykazem przejść (wzór świadectwa i wykazu w załączeniu).

– Karta taternika może być wydana wyłącznie osobie zrzeszonej w klubie należącym do PZA.

Tematy i zakres wykładów

1. Wykłady dotyczące asekuracji.

- a) **Sprzęt:** demonstracja i zapoznanie z działaniem całego sprzętu do letniej wspinaczki, zakres zastosowań, wady i zalety poszczególnych elementów – 2 godziny.
- b) **Teoria asekuracji:** różne rodzaje asekuracji, siły działające w układzie asekuracyjnym – 1 godzina.
- c) **Asekuracja:** obsługa przyrządów, zachowanie na stanowisku – 1 godzina.
- d) **Stanowiska:** budowa różnych typów stanowisk, stanowiska dolne, górne i pośrednie – 2 godziny.
- e) **Prowadzenie wyciągu:** taktyka prowadzenia wyciągu, prowadzenie jedno- i dwutorowe, łączność w zespole, specyfika prowadzenia w terenie kruchym, prowadzenie na trawersach, asekuracja w zejściu – 1 godzina.
- f) **Asekuracja na lodowcach i specyfika wspinaczki zimowej:** wykład ma na celu uzmysłowienie odrębności i trudności działania w górach lodowcowych i w zimie – 1 godzina.

2. Wykłady dotyczące ratownictwa i operacji linowych.

- a) **Zjazdy:** budowa stanowisk zjazdowych ze zwróceniem uwagi na ich wyjątkową rolę, czynności przy wykonywaniu serii zjazdów, omówienie różnych sposobów zjazdu i asekuracji w zjeździe, przejazd przez węzeł – 2 godziny.
- b) **Podchodzenie po linii:** różne techniki podchodzenia, omówienie sytuacji wymagających podchodzenia, zasady poręczowania i poruszania się na poręczówkach – 1 godzina.
- c) **Pierwsza pomoc:** wykład musi obejmować zakres podręcznika pierwszej pomocy z uwzględnieniem specyficznych sytuacji wypadków górskich – 2 godziny.
- d) **Autoratownictwo:** wykład na temat technik ratowniczych omawiający sposoby nawiązania kontaktu z poszkodowanym, metody uwolnienia się asekurującego od ciężaru wiszącego partnera (przeniesienie ciężaru na stanowisko), sposoby dotarcia do poszkodowanego, metody opuszczania i zjazdu z rannym (w tym opuszczanie na związanych linach) i metody podciągania – 2 godziny.
- e) **Udział w akcjach ratunkowych:** omówienie zachowania w sytuacji usłyszenia sygnału pomocy, zasady współpracy z pogotowiem górskim, zasady zachowania się w akcji z użyciem śmigłowca – 1 godzina.

3. Wykłady dotyczące taktyki.

- a) **Niebezpieczeństwa gór:** wykład omawiający wszystkie niebezpieczeństwa gór, niebezpieczeństwa zimowe i gór lodowcowych tylko w zakresie podstawowym – 2 godziny.
- b) **Strategia i taktyka:** możliwie szerokie i precyzyjne omówienie problemów związanych z tymi tematami – 2 godziny.
- c) **Wyposażenie wspinacza:** omówienie sprzętu osobistego, ubrań i butów oraz sprzętu biwakowego – 1 godzina.
- d) **Biwakowanie:** biwak planowany i nie plano-

wany, biwaki zimowe tylko w zakresie podstawowym – 1 godzina.

- e) **Ochrona przyrody:** Ogólne omówienie tematu ze szczególnym zwróceniem uwagi na realia Tatrzańskiego Parku Narodowego (rejon zamknięte, zamknięte okresowo, rezerwaty ścisłe) – 1 godzina.

4. Wykłady dotyczące topografii.

- a) **Topografia ogólna:** formacje górskie i skalne, przebieg grani głównej Tatr, walne doliny Tatr Wysokich polskich i słowackich – 1 godzina.
- b) **Najważniejsze rejony wspinaczkowe Tatr polskich i słowackich:** ogólne omówienie ich charakterystyki z uwzględnieniem bazy noclegowej – 1 godzina.
- c) **Topografia szczegółowa rejonu działania:** piętra doliny, drogi podejść i zejść, przebieg dróg wspinaczkowych w ścianach, drogi i sposoby wycofania się z dróg wspinaczkowych – 2 godziny.
- d) **Przewodniki i korzystanie z nich:** główne typy przewodników, korzystanie ze schematów i opisów dróg ze szczególnym uwzględnieniem przewodnika WHP – 1 godzina.
- e) **Orientacja w górach:** metody nawigacji w górach (w tym z wykorzystaniem kompasu) – 1 godzina.

5. Wykłady dotyczące historii i przepisów.

- a) **Etyka:** Omówienie zasad etycznych obowiązujących w gronie ludzi gór – 1 godzina.
- b) **Przepisy regulujące uprawianie taternictwa:** przepisy TPN, TANAP, PZA oraz graniczne – 1 godzina.
- c) **Historia:** opcjonalnie

Zajęcia praktyczne

- 1. **Węzły i podawanie liny** – podstawowe węzły wykorzystywane we wspinaniu, wiązanie się liną do uprząży i bezpośrednio, podawanie i wybieranie liny, klucz zjazdowy.

Komisja Informacji ma przyjemność zawiadomić, że poczynając od połowy czerwca br. można będzie korzystać ze stron internetowych poświęconych sprawom Polskiego Związku Alpinizmu. Nasz adres: <http://www.pza.org.pl> (bez kropki na końcu).

Zapraszamy do wspólnego redagowania. Wszelkie informacje, uwagi i uzupełnienia można nadsyłać na adres: alpinizm.pza.org.pl

2. **Korzystanie z literatury, sporządzanie opisów dróg**, szkiców, mapek, planów taktycznych.
3. **Podstawy autoratownictwa**, manipulowanie sprzętem.

Wspinaczki

Wymagane jest minimum 10 dni wspinaczkowych w czasie których zrealizowane muszą być następujące punkty programu.

1. Ćwiczenia **autoratownictwa** w terenie.
2. Droga prowadząca **granią** – w tym fragmenty z asekuracją lotną.
3. Droga prowadząca **kominem**.
4. Droga prowadząca **ścianą**.
5. Schodzenie drogą wspinaczkową.
6. Minimum **3 drogi** co najmniej **10-wyciągowe**.
7. Drogi o trudnościach **V w skali WHP** oraz sprawne **prowadzenie** przez każdego z kursantów wyciągów o trudnościach co najmniej **IV w skali WHP**.
8. Poznawanie **odwrotów** ze ścian w terenie.¹⁾
9. Wycofywanie się ze ściany **serią zjazdów**

w ilości umożliwiającej przećwiczenie głównych metod zjazdu.

10. Wspinaczki na **szczyty inne niż otoczenie doliny** w której odbywa się zasadnicza część szkolenia.²⁾

Opcjonalnie

1. Wspinaczki techniką **sztucznych ułatwień**.
2. Biwakowanie w górach.
3. Wspinaczki **nocą**.

Uwagi: Wykłady, o ile to możliwe, powinny poprzedzać realizację zajęć praktycznych.

¹⁾ Zaleca się zjazd ze stanowiska samodzielnie skonstruowanego przez kursantów w oparciu o stałe punkty; zaleca się również przeprowadzenie takiej ilości zjazdów przy okazji innych wspinaczek, która umożliwi biegłe opanowanie przez kursantów tej sztuki.

²⁾ W przypadku wykorzystania otoczenia Morskiego Oka jako drugiego rejonu najważniejsze są drogi długie, wyprowadzającego na wierzchołki, z których zejście wymaga zarówno orientacji jak i umiejętności sprawnego asekurowania się w zejściu (np. Mięguszwieckie Szczyty, ŻTM czy też Wołowa Turnia).

WZORY DOKUMENTÓW

Miejscowość, data

ŚWIADECTWO UKOŃCZENIA KURSU TATERNICKIEGO

Oświadczam, że kolega/koleżanka

imię i nazwisko

urodzony(a) w zrzeczony(a) w

data

miejscowość

klub

brał(a) udział w prowadzonym przeze mnie kursie taternickim i odbył(a) wspinaczki ćwiczenia oraz wysłuchał(a) wykładów zgodnie z programem letniego szkolenia tatrzańskiego. Stwierdzam, że wymieniona osoba posiada umiejętności praktyczne kwalifikujące do ubiegania o kartę taternika.

W załączeniu wykaz przejść i zajęć.

Instruktor

Imię i nazwisko

Nr licencji PZA

LETNI KURS TATERNICKI – WYKAZ PRZEJŚĆ

Oświadczam, że z kolegą/koleżanką
 ur. dokonałem(am) w dniach od do
 w ramach kursu taternickiego następujących przejść:

Lp.	Data	Szczyt	Droga	Nr w przewodniku	Trudności	Partnerzy	Czas przewodnikowy
SUMA							
GODZIN							

oraz w dniu wykonałem(am) ćwiczenia z autoratownictwa na stanowisku w rejonie
opisać gdzie

Instruktor
 Imię i nazwisko
 Nr licencji PZA

DOLNOŚLĄSKA SZKOŁA WSPINACZKI


7-dniowy kurs wspinaczki
w "Sokolikach" w/g programu PZA.
Kursy tatrzańskie letnie i zimowe.
Ponadto wspinaczki rekreacyjne
w skałkach i górach.

Instruktorzy PZA:

Bogna Jakubowicz

Piotr Jaśkiewicz

Tomasz Kliś

Wojciech "Dozent" Wajda 

Informacje i zapisy w sklepie:

50-013 Wrocław
ul. Czysła 7



tel/fax (0-71)72 58 38

e-mail: dozent@onyx.com.pl

CONTENTS

- 1 - Tomasz Oleksy the best of the Europe
- 2 - Carpe diem
- 5 - Higher than dreams
- 9 - Sierra el Brujo
- 12 - Narrows chimneys
- 16 - Where are you, Śnieżna Studnia?
- 21 - Ways from the archives of memory
- 26 - So up or down, now?
- 28 - One mustn't cross the border of the common sense
- 32 - There's no panaceum for feet
- 34 - Caves and speleology
- 35 - News from high mountains
- 36 - Spring in Sokoliki
- 37 - Presidents' parliament
- 38 - Obituaries
- 38 - Teaching

T A T E R N I K

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU
POŚWIĘCONY SPRAWOM TATERNICTWA
ALPINIZMU I SPELEOLOGII

Wydawca: Polski Związek Alpinizmu,
ul. Erazma Ciołka 17, p. 208: 01-445 Warszawa,
tel. 36-36-90

Redaktor: Andrzej Kłos, ul. Murzynowskiego 7/14
10-684 Olsztyn, tel. domowy i fax 542-85-92
e-mail: afklos@friko4.onet.pl

Kolegium redakcyjne:

Rafał Kardaś, Andrzej Kłos, Wojciech Święcicki

Realizacja wydawnicza (skład, łamanie):

Ryszard Gliński

Korekta: Małgorzata Cwinarowicz

Druk: Warszawska Drukarnia Naukowa

Warszawa, ul. Śniadeckich 8

Wydawca i dystrybutor: AGADE

01-691 Warszawa

ul. Gdańska 22, tel 39-87-85

Redakcja prosi tych autorów, którzy piszą teksty na komputerze, o przekazywanie ich w formie dyskietek (zwracamy) w programie TAG, Page Maker, Word For Windows, Ami PRO

ALPINIZM - TURYSTYKA

Polecamy
w szerokim zakresie:



- ❖ Sprzęt alpinistyczny i turystyczny
- ❖ Literaturę górską
- ❖ Obuwie turystyczne
- ❖ Odzież z tkanin POLAR, GORE-TEX, HighTech MICRO

Instruktaż i szkolenie w zakresie techniki alpinistycznych.
Sklepy prowadzą alpinistów i grotolazę

Wrocław: ul. Czysła 7 (za DT Centrum)
tel. (071) 72-58-38

 **alpinus**

SKLEP FIRMOWY
ul. K. Szajnochy (róg Gepperta)
tel. (071) 72-36-31

Zapraszamy

Dla stałych klientów zniżki